

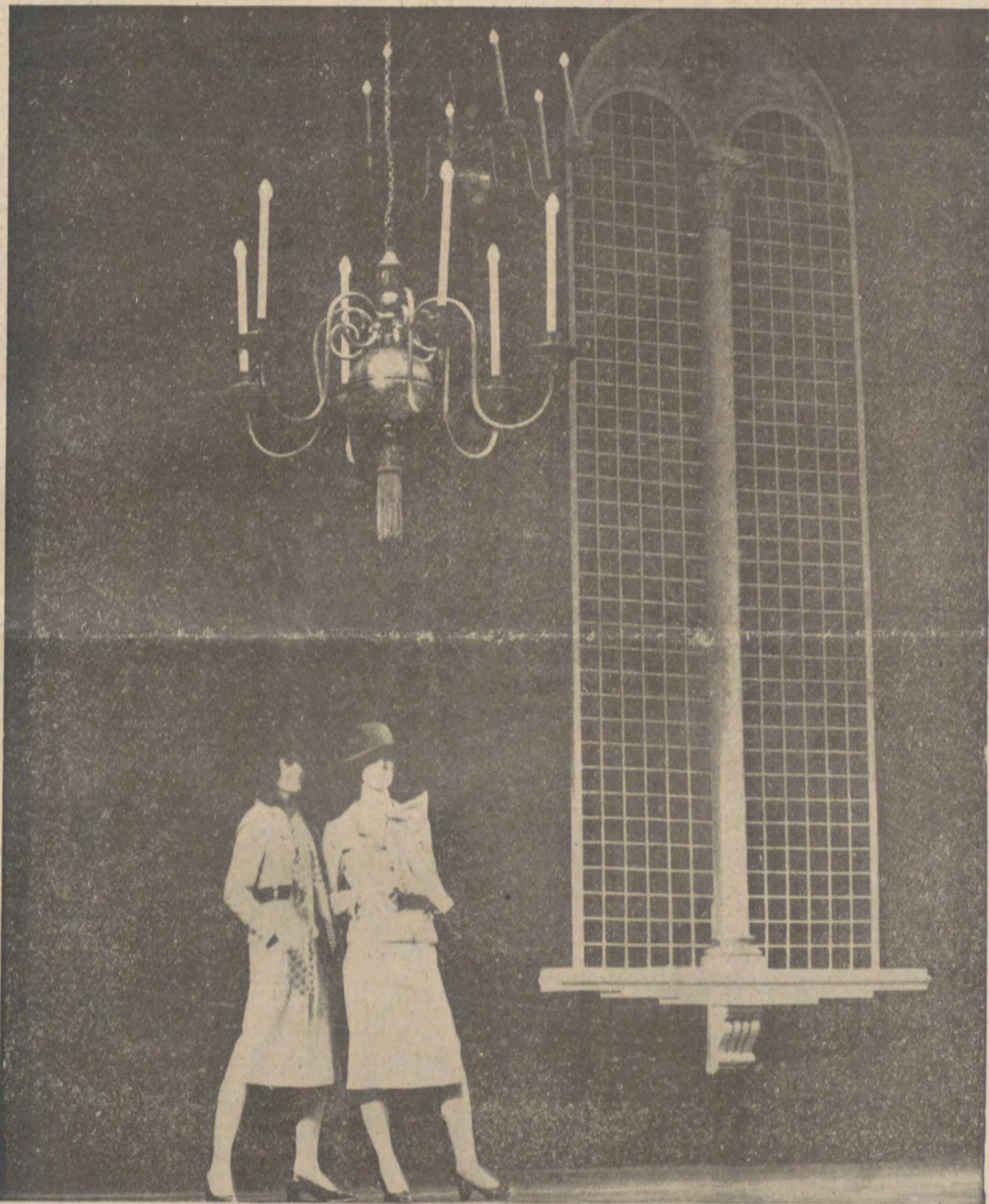
W numerze: STANISŁAW POWOŁOCKI *Lenin i księżka* • STANISŁAW LEWICKI *Dawne dzieje Łodzi*
 • ANDRZEJ MAKOWIECKI *Donos w sprawie zarzewiałych noży* • KONRAD FREJDLICH *Laurem*
wieńczyć skronie • *Epatowanie przyszłością* • *Zawsząd o wszystkim*

ODGŁOSY



22. III. 1970 r.
 12 (644)
 Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII



Fot. W. Przys

ZOFIA TARNOWSKA

TANIA KREW

Nieprzytomny? Co mu jest? — Lekarz dyżurny w szpitalnej izbie przyjęć patrzy na bezwładną postać, a zadaje pytanie sanitariuszowi dźwigającemu wraz z kierownicą nosze. Z noszy kapie

bia podłogę krew.

— Pijany jak biała — odpowiada sanitariusz. Leż ma potłuczony. To już drugi w takim stanie na dzisiejszym dyżurze.

Lekarz obmacuje głowę. — Ma krwiak — zauważa. — Może być pięknie czaszki. Na oddział!

Salowa i pielęgniarki przejmują pacjenta. W łazience zaczyna się ruch. Sypią się przekleństwa i żale. Pacjent jest zanieczyszczony. Trzeba go rozebrać, umyć, ubrać w szpitalną bieliznę. Ten jest spokojny. Nie krzyczy, nie kopie, nie gryzie i nie wymyśla najplugawszymi słowami.

— Panie doktorze, dać mu trochę insuliny?

— Jasne.

— Pięć jednostek?

— Daj dziesięć, jeżeli jest pełne upojenie alkoholowe, to po pięciu się nie obudzi.

Zastrzyk z insuliny. Oczekiwanie na rezultat. Jeżeli ma poważny uraz czaszki, to nie obudzi się. Minuty płyną. „Pacjent” budzi się w całym przepychu alkoholowego upojenia. Na pytania odpowiada niecenzuralnymi słowami. Belkozce.

— Na zabieg! Zszyjcie mu brodę. Jest doskonale znieczulony alkoholem. Głowa cała. Szczęka cała.

Zszyli, opatrzyli, położyli do łóżeczka śpiącego jeszcze pijackim snem. Nie będziemy czekali aż się obudzi w pełni przytomny, bo właśnie jest nowy pacjent w stanie pijackiego szoku i z nożem w brzuchu. Towarzysze pijackiej biesiady nie pozwolili mu wyjść na ulicę i porozrabiać. Protestując przeciw takiemu ograniczeniu swobód obywatelskich chwycił nóż demonstrując admirację dla samurajskich obyczajów. Teraz protestuje przeciwko lekarzom. Miota się i wymyśla przez całą drogę do sali operacyjnej i na stole zabiegowym. Nie można go znieczulić. Lekarze błędnie i czerwienią na przemian, ale tylko drżenie rąk zdradza najwyższe zderowanie. Wreszcie po kolejnej porcji brudnych inwektyw lekarz mówi:

Dalszy ciąg na str. 3

Trudna droga do nowoczesności

Zaprosiliśmy do redakcji przedstawicieli nauki i praktyków, aby wspólnie omówić interesujące ich dziedziny przemysłu i wskazać kierunki działania wynikające z uchwał IV Plenum KC PZPR. W dyskusji udział wzięli: mgr inż. CZESŁAW KUPCZYŃSKI — ZPW im. Gwardii Ludowej, mgr JERZY SKRĘTNY — Zjednoczenie Przemysłu Wełnianego — Pół

noc, dr RYSZARD TALACH — Polskie Towarzystwo Ekonomiczne, mgr JERZY THIELE — Centralne Laboratorium Przemysłu Bawełnianego i doc. dr GABRIEL WŁODARSKI — Instytut Włókien Sztucznych i Syntetycznych. Rozważano m. in. problem warunków niezbędnych w przemyśle i nauce dla prawidłowego realizowania postępu technicznego.

R. TALACH: — W rozważaniach nad postępowaniem technicznym należy przyjąć, że — z jednej strony — za leży on od rozwoju poszczególnych dziedzin nauki: fizyki, chemii, matematyki i innych, a — z drugiej — od poziomu produkcji, tzn. od praktycznych możliwości przemysłu. Zastanawiając się nad pierwszą grupą zagadnień, trzeba rozważyć wzajemny stosunek badań podstawowych, stosowanych i przemysłowych. Przy czym te ostatnie należy jeszcze wzbogacić o racjonalizację. Dopiero logiczna kombinacja tych badań może zdecydować o tym, czy nastąpi pożądaný postęp, czy też nie. Trzeba tu przypomnieć, że badania podstawowe mają na celu poznanie praw fizycznych, ale obok nich istnieją badania podstawowe ukierunkowane, kiedy przed naukowcami stawia się konkretny cel, np. o-

pracowanie koncepcji, która będzie miała podstawowe znaczenie dla dalszych badań naukowych i doświadczeń.

G. WŁODARSKI: — Badania podstawowe ukierunkowane powinny być prowadzone przez znaczną liczbę ludzi, zajmujących się nauką i wówczas można liczyć na większe sukcesy. Wynika to z tego, że proces badań naukowych jest złożony i nie każde pojęte badanie musi zakończyć się wynalazkiem. Nie można zatem od każdego badacza wymagać pozytywnego wyniku, ale od dużej grupy ludzi zajmujących się badaniami — tak. W przeciwnym przypadku świadczyłoby to tylko źle o koncepcji badań. W takiej sytuacji nie jest rzeczą wstydliwą wycofywać się z podjętych badań. Wiele firm zagranicznych tak właśnie postępuje, aby podjąć inne badania.

W rozważaniach o opłacalności badań naukowych trzeba brać pod uwagę końcowy rezultat, ale nie jednego tematu, a rezultat badań w szerszym zakresie z uwzględnieniem stopnia wykorzystania ich przez przemysł.

„ODGŁOSY”: — Tak postępować mogą przede wszystkim wielkie firmy, dysponujące ogromnym aparatem badawczym. Można mieć wątpliwości, czy w naszym przypadku stać nas na takie postępowanie. Dla tego warto więcej uwagi zwrócić na sprawy selekcji badań naukowych w ramach gospodarki.

G. WŁODARSKI: — Selekcja kierunków badań naukowych jest pod-

Dalszy ciąg na str. 4



GDYBY ktoś potrudził się i obliczył, jakiemu to międzynarodowemu zagadnieniu poświęcono w kończącym się kwartale najwięcej uwagi, musiałby dojść do jednoznacznego wniosku: problemowi niemieckiemu. Bo też dzieją się rzeczy, zasługujące na ich odnotowanie. Miniony tydzień przyniósł kolejne, ważne wydarzenie — uzgodnienie miejsca i terminu spotkania premiera rządu NRD — Stopha z kanclerzem rządu NRF — Brandtem. A więc 19 marca, w Erfurcie. Zanim jednak można było w identycznie brzmiących komunikatach podać do publicznej wiadomości te dwa konkrety — toczyły się rozmowy techniczne. W pewnym momencie znalazły się one w impasie z powodu różnego punktu widzenia NRD i NRF na status Berlina zachodniego. Rząd NRD nie mógł bowiem wyrazić zgody na planowaną przez Brandta manię festacyjną wizytę w Berlinie zachodnim po rozmowach ze Stophem. Ale właśnie wtedy, kiedy komentatorowi wydawało się, że rozmowy przy gotowcauwce z wymienionego powodu zostaną przerwane, znaleziono formułę kompromisową. Miejscem spotkania będzie nie Berlin, lecz Erfurt, leżący w odległości 74 km od granicy NRD z NRF.

Warto podkreślić także inny istotny szczegół: kanclerz Brandt przyjęty będzie w NRD z zachowaniem wszystkich międzynarodowych zwyczajów, jakie towarzyszą powitaniu szefa rządu innego państwa. Znaczenie tego protokolarnego detalu zrozumimy, jeśli przypomnimy sobie, iż z NRD-owskiego punktu widzenia głównym celem spotkania ma być doprowadzenie do równoprawnych stosunków między obu państwami niemieckimi, łącznie z wymianą ambasadorów i że w Bonn dotychczas nie chcieli traktować NRD jako zagranicy.

Czwartkowe spotkanie rządów obu państw nie mieckich zapoczątkowuje nową sytuację. Oczywiście, nie trzeba mieć złudzeń — jedno spotkanie premierów państw o biegunowo różnych programach politycznych nie przesądzi o rozwoju wzajemnych stosunków. Mimo to ma ważne znaczenie, jest ilustracją ewolucji stanowiska Bonn po wieloletnim zamykaniu oczu na fakt istnienia drugiego państwa niemieckiego.

Erfurckie spotkanie może spełnić dużą rolę w przygotowaniach do europejskiej konferencji na temat bezpieczeństwa i współpracy. A ten nadrzędny cel: uczynienia z naszego kontynentu — kontynentu pokoju, wyznacza kierunek wszystkich rozmów z przedstawicielami NRF — w Moskwie i Warszawie...

W UB. TYGODNIU pisaliśmy o niebezpiecznej sytuacji w Laosie i jej ewoluowaniu w „wietnamskim” kierunku. Dziś warta nieco uwagi po święcie programowi pokojowego rozwiązania laotańskiego konfliktu. Program ten przed kilku dniami przedstawiony został przez Komitet Centralny Pathet Lao.

Za punkt wyjścia przyjmuje on porozumienia genezyjskie z 1962 roku, według których wszystkie państwa mają respektować suwerenność, niepodległość, neutralność, jedność i integralność terytorialną Laosu. Wymaga to zaniechania w jakiegokolwiek formie interwencji amerykańskiej w tym kraju, której służą także bazy wojskowe USA w Syjamie oraz syjamscy najemnicy.

Królestwo Laosu, uwolnione od interwencji, prowadzi będzie pokojową i neutralną politykę. Przeprowadzone zostaną powszechne wybory, w wyniku których powstanie rząd jedności narodowej. Od chwili przywrócenia pokoju do uformowania takiego rządu zainteresowane strony utworzą doradczą konferencję polityczną i tymczasową koalicję rządową.

Zjednoczenie Laosu powinno być osiągnięte przez konsultacje między stronami laotańskimi na zasadzie równości i zgody narodowej. Żadna ze stron nie powinna uciekać się do stosowania przemocy i jakiegokolwiek represji wobec osób, które obecnie współpracują ze stroną przeciwną. Taki program rozwiązania problemu — czytamy w oświadczeniu — wychodzi naprzeciw dążeniom narodu i służy interesom pokoju i bezpieczeństwa w Indochinach.

Niebezpieczny rozwój sytuacji w Laosie wywołał w społeczeństwie amerykańskim ataki na administrację i żądanie nieangażowania się w nową awanturę wojenną. Nixon zmuszony został do złożenia oświadczenia w sprawie polityki USA w Laosie oraz wysłania listów do współprzewodniczących konferencji genezyjskiej: W. Brytani i ZSRR. Równocześnie rozległy się głosy kongresmanów, sugerujące spotkanie sygnatariuszy układów genezyjskich z 1962 roku (układy te podpisało 14 państw).

Spółczesność amerykańska, srodze doświadczona zaangażowaniem się Stanów Zjednoczonych w Wietnamie, przestrzega rząd, aby eksalacja udziału w Laosie nie stworzyła sytuacji podobnej do wietnamskiej.

W KRONICE wydarzeń ostatnich dni odnotujemy jeszcze dwie ważne wizyty w Polsce: węgierskiego ministra spraw zagranicznych — J. Petera, która zakończyła się potwierdzeniem całkowitej zgodności poglądów na problematykę międzynarodową Polski i Węgier oraz trwająca obecnie — T. Żukowa, I sekretarza KC BPK i premiera rządu Bułgarii.

W. ŚLAWSKI

Zewsząd o wszystkim

Gdzieś na północ od Sajgonu...

„NEWSWEEK” — NOWY JORK

Amerykańska chorągiewka powiewa na wieżycze czolgu, który z trudem toruje sobie drogę przez zwały lepkiego błota, gdzieś na północ od Sajgonu. Z wieżyczki wychyla się żołnierz. Jest obnażony do pasa, na szyi ma zawieszony medal z napisem „Za pokój”.

— Pomyśleć tylko — mówi do mnie sierżant - weteran, stojący na poboczu drogi — kiedyś nosili medalliony ze św. Krzysztofem, albo krzyżki, a teraz?...

Wiem też od niego, że w południowym Wietnamie młodzi żołnierze amerykańscy pozdrawiają się uniesieniem ręki, przy czym dwa palce dłoni układają się w kształt litery „V” (Pierwsza litera słowa „victoria” — zwycięstwo. Red.).

— My, weterani — ciągnie sierżant — uważaliśmy początkowo, że ten gest oznacza zwycięstwo nad partyzantami. Dopiero później zrozumieliśmy, że symbolizuje on pokój.

Dodał również, iż nowym i ważnym zjawiskiem w armii amerykańskiej są młodzi żołnierze — pacyfiści, pogardzający tradycyjną formułą: „Ameryka może być sprawiedliwa lub nie, ale to jest moja ojczyzna”.

Żołnierz „anno 1970” przedkłada plakaty z hasłami o pokoju nad pocztówki ze skąpo ubranymi dziewczętami. Z punktu widzenia dowództwa, najgroźniejszym zjawiskiem wśród młodych żołnierzy jest negatywny stosunek do wojny, a obok tego, lub w związku z tym, jawna niesubordynacja wobec przełożonych.

— Ruch na rzecz pokoju — mówi jeden z pułkowników — dotarł aż tutaj i może zarazić wszystkich.

Te fakty nie są czymś nadzwyczajnym, bowiem wielu żołnierzy, którzy przybyli teraz do Wietnamu, przywiozła ze sobą nastroje młodej Ameryki. Lwią część poborowych stanowią absolwenci koledżów, którzy trafili do wojska już po anulowaniu, w czerwcu 1967 roku, ustawy o odroczeniu służby wojskowej. Po wcieleniu do wojska wielu z nich zachowało nastroje antywojenne, czytując gazetki o treści antywojennej, kolportowane w obozach szkoleniowych i bazach wojskowych USA, bywa w kawiarniach, gdzie spotykają się przeciwnicy wojny. Te kawiarnie powstały w ostatnich dwóch latach, w pobliżu ośmiu głównych wojskowych ośrodków szkoleniowych w USA. Jedną z nich, w mieście Columbia stan Południowa Kalifornia, została niedawno zamknięta przez miejscowe władze „za naruszenie bezpieczeństwa publicznego”. W ubiegłym tygodniu władze wojskowe w Tacoma wydały żołnierzom zakaz uczęszczania do kawiarni, gdzie odbywają się zebrania popędzające wojnę.

Usiłowania władz wojskowych, aby położyć kres pro-

pagandzie antywojennej nie dają spodziewanych rezultatów. Widać to szczególnie wyraźnie w Wietnamie, gdzie niedawne incydenty antywojenne, jeszcze dwa lata temu, byłyby nie do pomyślenia.

Na przykład, w październiku ub. roku, w „Dniu Mordercy”, 36 tysięcy żołnierzy US Army, stacjonujących w prowincji Kuan Thi, w Wietnamie, zorganizowało sejmikarium poświęcone działalności antywojennej. Kilka tygodni później, w Dniu Dziękczynienia, stu żołnierzy i kilku oficerów z oddziału służby sanitarnej w Pleiku odmówiło udziału w tradycyjnym obiedzie na znak protestu przeciwko wojnie w Wietnamie. Niedługo przed Bożym Narodzeniem, kiedy znany komik amerykański, Bob Hope, na zakończenie swego dorocznego show w Południowym Wietnamie, zapewnił żołnierzom, iż prezydent Nixon zmierza do zakończenia wojny, około trzech tysięcy żołnierzy, obecnych na sali — urządziło burzliwą demonstrację przeciwko przedłużającym się działaniom wojennym. W wigilię Bożego Narodzenia policja wojskowa rozproszyła żołnierską demonstrację pokojową, odbywającą się przed bazyliką w Sajgonie.

Istnieją oznaki, że „choroba antywojenna” przywieziona przez rekrutów, rozprzestrzenia się — przyjmując różne formy — na inne jednostki wojskowe stacjonujące w Wietnamie.

Z innego podłoża wyrasta niezadowolone w oddziałach murzyńskich. Żołnierze — Murzyni przyjeżdżają do Wietnamu z radykalnymi poglądami, które wyrobili sobie już w kraju pod wpływem konfliktów rasowych. Wiadomo, że przynajmniej w dwóch dywizjach frontowych wzrosła liczba komórek organizacji „Czarne pantery”, która prowadzi propagandę przeciwko „wojnie białych”.

Wielu wyższych oficerów nie chce jawnie przyznać, że wszystko to stanowi poważny problem. Jednakże niektórzy z nich wyrażają w rozmowach głęboki niepokój i zaniepokojenie.

Nigdy przedtem nie za stanawiałem się nad moralną stroną tych problemów — przynajmniej pewien oficer marynarki wojennej. Wszystko odbywało się niejako siłą rozpędu. Teraz, niemal połowę czasu wolnego od zajęć tracę na roztrząsanie tych spraw.

Jakby na potwierdzenie, że istnieją moralne problemy wojny, wzrosła liczba dezertorów, i to nie tylko w Wietnamie, ale w całej armii amerykańskiej. Jeden z wysokich funkcjonariuszy CIA, który powrócił z Sajgonu do Waszyngtonu, jest przerażony jak się wyraził — „głębokim rozkładem”, jaki panuje wśród żołnierzy amerykańskich, co uważa za nowy sukces przeciwnika...

W NASTĘPNYM, ŚWIĄTECZNYM NUMERZE „ODGŁOSÓW”

- ◆ Dialog o narodzie
- ◆ Wysłałam za mąż za numer 18045...
- ◆ Kilowaty z Grand Hotelu
- ◆ Polowanie
- ◆ Świąteczna krzyżówka, felietony, recenzje, nowela kryminalna.

Lodzianie 1969

Serdecznie zapraszamy wszystkich uczestników konkursu — plebiscytu „Lodzianie 1969” na spotkanie z jego laureatami, w czwartek, 19 marca br. o godzinie 19 w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki, ul. Narutowicza 8.

Radio zamiast bębna

„JEUNE AFRIQUE” — PARYŻ

W Afryce, jeszcze nie tak dawno, bęben był niemal je dynym środkiem łączności. Teraz jego miejsce zajął radiodiodobiornik.

Od Sahary aż po Zambezę radio zdobyło sobie prawo obywatelstwa. Na całym kontynencie widzi się dzisiaj taki obrazek: mieszkańcy miast i wsi zbierają się na placach i razem słuchają audycji radiowych. Nigdzie na świecie liczba radiosłuchaczy nie rośnie tak szybko jak na Czarnym Lądzie. W roku 1955 było tam, w sumie 360 tys. radiodiodobiorników, teraz jest ich już ponad 8 milionów!

Badania przeprowadzone w 1967 roku we Wschodniej Afryce, wykazały, że 81 procent ludności zarówno dużych jak i małych miast systematycznie słucha radia. Podobnie jest w Afryce Zachodniej. Kontynent, na którym 4/5 mieszkańców nie umie ani czytać, ani pisać z zacięciem słucha radia. „Lubimy je dlatego — mówią Afrykanie — że zastępuje nam wiadomości

przekazywane niegdyś przy pomocy bębnow lub za pośrednictwem kurierów”.

Są jednak i inne — jeszcze przyczyny szybkiego rozwoju radiofonii na afrykańskim kontynencie. Oto radiostacje zbudowane w ostatnich latach niemal we wszystkich niepodległych krajach afrykańskich, nieustannie wzbogacają swoje programy radiowe i nadają je w około 700 miejscowych nierzeczach. W większości krajów afrykańskich radio jest poza tym narzędziem władzy politycznej, bowiem dociera ono wszędzie i jest szybkim środkiem przekazu.

Podobnie, jak to się dzieje w innych częściach świata, również i wiele krajów afrykańskich nadaje specjalne audycje radiowe dla słuchaczy sąsiednich państw, a nawet dla słuchaczy zza oceanu. Na przykład radiostacja w Lagos — „Głos Nigerii” — codziennie, w ciągu kilku godzin, emituje specjalny program radiowy dla słuchaczy w Afryce, na Bliskim Wschodzie i w Europie...

Wyprzedaż w ks. Lichtenstein

„VIE NUOVE” — RZYM

Już od szeregu lat księstwo Lichtenstein prowadzi wyprzedaż dzieł sztuki, posiadających bezcenne walory artystyczne i historyczne. Potrzebując pieniędzy, panująca dynastia księstwa sprzedaje od czasu do czasu jakiś kolejny obraz ze swej galerii malarstwa, założonej w XVI wieku.

Niedawno zachodniemieckim biznesmanom z Bawarii udało się kupić, bodaj czy nie najcenniejsze dzieło z tej galerii — portret holenderskiego kupca, pędzla znakomitego niderlandzkiego malarza Fransa Halsy.

Dyrektor galerii obrazów w Monachium, Erich Steingreber, który dokonał tej niecodziennej transakcji, uważa ją „za największą u-

przeżyci ostatnich lat”. Przybliżona wartość obrazu, jak píše „Munchen Merkur”, sięga 12 milionów marek zachodniemieckich.

Jest to rekordowa wysokość, najwyższa suma jaką kiedykolwiek zapłacili za obraz zachodniemieccy kolekcjonerzy. Ponadto przewyższa ona wszystkie ceny za obrazy Rembrandta sprzedane od tej pory. Tylko jeden, jedyny raz zapłacono za płótno jeszcze wyższą cenę: w roku 1667, ksiądz Łichtenstein — Franciszek Józef — otrzymał od galerii narodowej w Waszyngtonie ezek, opiewający na sumę 22 milionów marek zachodniemieckich za portret kobiety pędzla Leonarda da Vinci.

Chmury na zamówienie

„BUSSINES WEEK” — NOWY JORK

Kiedy w Atlancie (stan Kalifornia) robi się zbyt gorąco, Thomas Mi włącza swoje urządzenie do wytwarzania sztucznej mgły i temperatura powietrza obniża się o 10 — 15 stopni. Wyłazek Mi znalazł już praktyczne zastosowanie: firma „Pepsi — Cola” zapłaciła mu 75 tys. dolarów za wykonanie takiego urządzenia dla swego pawilonu na Światowej Wystawie w Osa ce. Około dwóch tysięcy specjalnych rozpylaczy, umieszczonych na dachu pawilonu, utworzy mglisty ołok. Przyrządy elektroniczne będą kontrolowały pracę pomp i rozpylaczy, aby chmury przybierały odpowiednie kształty i żeby przesuwały się w żądanym kierunku. Mi, fizyk, specjalizujący

się w problematyce zjawisk atmosferycznych, pracuje nad swoim niezwykłym wynalazkiem już od kilku lat. Sądzi, iż największe korzyści przyniesie on rolnictwu. Sztuczna mgła może np. ochłodzić rejon narazony na posuchę, a także zneutralizować szkodliwe działanie mrozu na glebę.

Cały problem polega na tym, aby wynalazek Mi wykorzystać przy możliwie minimalnych kosztach eksploatacji. Jak dotąd koszt skonstruowania instalacji, która by ochłodziła około pół hektara powierzchni ziemi, wyniósłby około 2 mln dolarów. Uwzględniając koszty wody i energii, opłata za korzystanie z urządzenia Thomasa Mi, kształtowałaby się w granicach 10 centów za godzinę.

Zewsząd o wszystkim

TANIA KREW

Dalszy ciąg ze str. 1

— Będę cię kroił na żywo, bez znieczulenia!

Poskutkowało. Paskudna operacja. Część porwanego jelita trzeba odcinać, potem zespałać pozostałe odcinki. Pacjent jest wykrwawiony. Transfuzja. Płynię kropla po kropli, zdrowa, świeża krew. Najcenniejszy lek. Patrzę na te krople i na brudne ręce operowanego i myślę o nieznanym dawcy krwi. Czyja to krew odświeża i uzupełnia zanieczyszczony alkoholem krwiobieg chuligana? Może robotnika z Zakładów im. Marchlewskiego, może studenta z WAM?

Przed kilku dniami opuścił oddział po kilkutygodniowej kuracji ob. F. Miał doświadczenie pokłuty brzuch, porwane jelita. Halotan, którym go znieczulono do technicznie bardzo trudnej operacji, kosztował 1000 zł. Ponieważ operowany był dokładnie wykrwawiony, dostał dwa razy krew. Znowu tysiąc i jeszcze raz tysiąc złotych. To był pacjent ciężko chory. Leżał w aureoli cierpienia, krzątały koło niego pielęgniarki, salowe, lekarze.

Bardzo długo leżał pacjent, który w ramach pijackiej rozróbki miał pokiereszowaną klatkę piersiową tak fatalnie, że ostrze narzędzia, którym „dyskutowano”, odcięło kawałek płuca... Masywny krwotok pozabawił go krwi. Przetaczano mu no wąż raz po raz.

Leży robotnik, który po pijanemu palił papierosa w kotłowni. Na skutek wybuchu zapaliła się na nim watowana kurtka. Skutek — oparzenia II i III stopnia klatki piersiowej i prawej ręki. Będzie leżał kilka miesięcy. Dostaje krew i plazmę, trzeba będzie robić przeszczepy skóry, operacje plastyczne. Takie operacje przechodzi właśnie w Polanicy inny pacjent oddziału sprzed roku, który po pijanemu, w wyniku klótni z żoną oblał się naftą i podpalił. W tej chwili przyznano mu II grupę inwalidzką. Stara się o pierwszą...

Budzą się w pełnej krasie pijackiego kociokwiku. Dzwonią nieustannie na siostry, wołają o basen, kaczkę, każą sobie poprawiać pościel, robią niedorzeczne propozycje. Mało brakuje, żeby prosili o pół litra na „klinę”, kawę i papierosa. Po niejednym dyżurze jest tak, że na salach pooperacyjnych leżą pijani, a na kozyrtarzu pacjenci po ciężkich operacjach, które nie są skutkiem opilstwa.

III piętro ma około 50 łóżek. W nocy są dwie pielęgniarki. Noc jest dla nich gehenna. Co godzinę mierzą pijanym ciśnienie, tętno, pilnują, kiedy odzyskała przytomność. Pielęgniarki schodzą z dyżuru zapłakane, sponiewierane. Pijacy śpią. A potem, kiedy są w jakimś takim stanie, kiedy otrzeźwiają i dochodzą do siebie po zabiegach zaczyna się seria prześwietleń, dodatkowych badań, konsultacji. Najczęściej wyzywa się neurologa. Konsultacja kosztuje. Napięty budżet szpitala jest dodatkową obciążeniem. Kiedy potrzeba wykonać specjalistyczne usługi wobec innych pacjentów — wylaniają się trudności finansowe.

W styczniu oddział chirurgiczny Szpitala im. Sonenberga przyjął na ostrych dyżurach dziesięciu pijanych. Niemal wszyscy mieli poważne urazy głowy. Ostatnio na każdym dyżurze jest czterech, pięciu takich. W ubiegłym roku oddział pełnił 90 ostrych dyżurów. Przyjęto na nich 1108 chorych, 450 z nich miało poważne urazy.

Z tych 30 proc. przyjęto w stanie nie trzeźwym. Stanowi to 21,3 proc.

Pogotowie z całą pieczołowitością traktuje pijanego. Taka jest zasada. Medycyna nie zna określenia pijany. To jest czołowiek ciężko zatruty. Nieprzytomnego z jakimkolwiek urazem nie wolno wieźć do izby wytrzeźwień (jest w tej sprawie specjalny okólnik). W izbie może się okazać, że za stanem nieprzytomności z powodu upojenia alkoholowego, jest stan nieprzytomności z powodu wewnętrznego urazu. Jeżeli pijany umrze...

Kiedyś w ambulatorium pogotowia pijanemu zaszywano ranę ciętą głowy. Z przeżaleniem stwierdzono pęknięcie czaszki. Przewieziono do szpitala. Pacjent trochę oprzytomniał i w trakcie przyjmowania na oddział uciekł. Karetka udała się w poscig. Zawiadomiono milicję. Znalezione. A

ym poprawy. Wkrótce przestał być bohaterem pijackich wyczynów i lekarskich starań. Zmarł w męczarniach...

Najświeższy wypadek: 27-letni młodzieniec wsi wskakiwał po pijanemu do tramwaju. Skutek analogiczny do wypadku wyżej opisanego. Rocznie oddział hospitalizuje kilkunastu takich pacjentów. Co najmniej jedna czwarta z nich ginie mimo mobilizacji wszystkich sił, środków i wiedzy. Koszt leczenia jest ogromny, bo zjawiają się powikłania skórne, pecherzowe, płucne. Koszt pobytu w szpitalu takiego chorego w pierwszych dniach dochodzi do 3 tys. zł na dobę. W niewielu wypadkach przywraca się zdrowie. Tylko czwarta część z nich ma trochę szczęścia. Ci, którzy nie umierają — zostają kalekami.

Dyrektor szpitala mówi: „Pijacy są zmorem szpitala i lecznictwa. 80 proc. pacjentów z u-



gdyby się gdzieś dobrze skrył i zmarł w kryjówece? Kto odpowiada?...
Przenieśmy się teraz do Szpitala Wojewódzkiego w Zgierzu. ODDZIAŁ CHIRURGII OGÓLNEJ. Na 100 urazów przypada 70 z powodu pijanstwa. Przeważają urazy głowy, rany tłuczone i wstrząsy mózgu. Stan upojenia alkoholowego znacząco wpływa na stan faktyczny. Bóle głowy, utrata przytomności i wymioty są tak objawami wstrząsu mózgu jak i opilstwa. Nieraz dwie doby trzeba czekać na stan, w którym diagnoza może być jednoznaczna.

ODDZIAŁ URAZOWY. 21 lat miał pacjent, który spadł z karuzeli. Był kompletnie pijany. Diagnoza: porażenie kończyn dolnych, górnych, zwieraczy. Cztery miesiące leżał w szpitalu. Były to cztery miesiące olbrzymiej pracy całego zespołu oddziału. Jeden taki pacjent równa się co najmniej piętnastu innym, jeżeli chodzi o absorbowanie sił personelu. (50 proc. czasu nocnego przeznaczają się dla pijanych). Wypisano go do domu w stanie nie rokują-

razami to osobnicy po wódce. Jeżeli nie są nieprzytomni, to w większości wypadków tak agresywni, że i milicję trzeba wywołać do szpitala. Pijani z ciężkimi urazami obsługiwani są kosztem innych pacjentów — ludzi, na których powrót do zdrowia czeka społeczeństwo. (Trzeba tu dodać, że krwi, której nigdy nie jest w szpitalu dosyć, brakuje często dla pacjentów, wykrawawionych nie z powodu pijanstwa).

Są pijani i są ofiary pijanych. Pewnego dnia przywieziono młodą dziewczynę. Tonęła we krwi, a jej twarz była jedną krwawą masą. Zwolano lekarzy wszystkich niemal specjalności. Urazy twarzy i szyi były potworne. Ściągną poprzecina. Okazało się, że pijany narzeczony dał jej lekcję „miłości”.

Szpital Wojewódzki jest szczególnego rodzaju pryzmatem przez który patrzy się na pijanstwo z różnych punktów widzenia. Prym wiodą pijani w wieku 20—30 lat: wiejskie osiłki tłukące się po pijanemu na motocyklach, traktorzyści tankujący ciągniki paliwo, a sobie alkohol. Uczestnicy zabaw kłócący się o dziewczyny i załatwiający nożami i drągami

porachunków, robotnicy śpieszący się z knajp do domów po przepiciu zarobków, goście weselni i ojcowie chrzestni...

W szpitalnych oddziałach mówi się: „Dzisiaj jest dziesiąty, uważa, wypłata w zakładach A. Dziś pierwszy — uważa, zakład B płaci.” Wieczór potwierdza ranne obawy. A potem szpital leczy a zakład płaci odszkodowanie, ZUS — zasiłki chorobowe. Pijany tylko przez pierwsze trzy dni nie otrzymuje zasiłku. Potem pieniądze leżą, chociaż się leży. I to jak się leży — luksusowo! Na państwowy koszt. W wypadkach urazów takiej natury jak złamanie powłok kończyn czy kręgosłupa, leży się kilka miesięcy, a nawet rok.

W ODDZIALE CHIRURGII SZCZĘKOWO-TWARZOWEJ tego szpitala w ciągu ostatnich trzech lat 30 proc. pacjentów stanowią pijani. 50 proc. z nich przyjmowano w stanie nieprzytomnym. Przeważająca ilość masakrowała sobie twarze w bójkach, a pozostali ulegali przeważnie wypadkom motorycznym. Oddział odwieżdża ciągle ktoś z prokuratury lub milicji. Potrzebne są odpisy choroby i orzeczenia lekarskie. Wszyscy mają dosyć z tym roboty. Sprawa nie kończy się na oddziałach szpitalnych. Wystarczy zapytać neurologów, w jakim stanie przychodzą do nich pacjenci wypisani ze szpitala po wstrząsach mózgu. Po wódce. Zaprzeczają, że pi-li, a śmierzdzą wódką. Ciężko chorzy. Na zwolnieniu, po wstrząsie mózgu, po operacjach... Pozostają na zwolnieniach i zasiłkach kilka tygodni.

Może ktoś powie, że Szpital Wojewódzki nie jest odbiciem przeciętnej? Weźmy klinikę łódzką. Także CHIRURGII TWARZOWO-SZCZĘKOWEJ. 20 proc. pacjentów przyjętych z powodu urazów. Pijani. Zachowanie — jak wyżej. Krakowska klinika chirurgii twarzo-szczękowej przeprowadziła analizę płci, wieku, zawodu, miejsca zamieszkania, okoliczności urazu złamań szczękowych u chorych, którzy w chwili wypadku byli w stanie nietrzeźwym. (Dane z „Czasopisma Stomatologicznego” nr 11, rok 1967). W okresie 10 lat leczono tam 274 takich chorych, (12,8 proc. ogólnej liczby chorych ze złamaniami kości twarzo-czaszki), 99,2 proc. stanowili mężczyźni, w większości w wieku 21—30 lat — pracownicy fizyczni, (74,8 proc.), zarówno mieszkańcy miast jak i wsi. W wywiadzie podają najczęściej, że pili wódkę lub wódkę, rzadziej naleźali te napoje. Pili w barach lub restauracjach, na zabawie, weselu, a nawet w stołówce, przeważnie bez ostryego lub na krótko przed wypadkiem.

KLINIKA NEUROCHIRURGII AM W ŁODZI: 80 proc. urazów czaszkowo-mózgowych leczy się u ludzi przyjętych w stanie nietrzeźwym. Na leki dla jednego pacjenta klinika ma około 40 złotych dziennie. Koszt leczenia pacjentów z ciężkimi obrażeniami czaszkowo-mózgowymi wynosi (tylko w lekach) przez pierwsze doby co najmniej 3 tys. zł. Jeżeli jest trzech pacjentów omawianego typu — „zjadają” budżet przeznaczony dla wszystkich.

Jedyną sankcją w stosunku do pijanych pacjentów jest wpisywanie do zwolnienia szpitalnego statystycznego numeru „choroby” — upojenie alkoholowe (Nr 990). A jakie konsekwencje wyciągają zakłady pracy, otrzymujące zwolnienia? Kto w ogóle wyciąga konsekwencje i wnioski z tego stanu rzeczy? Kto pokusi się obliczyć na podstawie danych ze szpitali w całym kraju, ile dni pracy utopili się w wódce, i ile kosztuje społeczeństwo leczenie pijaków w szpitalach i przychodniach? Ile kosztuje inwalidztwo? Ile wynoszą renty z powodu niezdolności do pracy jako skutków urazów odniesionych po pijanemu? Pytań jest wiele. Nie ma rachmistrów? Może mógłby elektronowe poradzić sobie z rachunkiem? Warto sporządzić taki bilans. Dowiedzielibyśmy się między innymi jak tania jest krew...

ZOFIA TARNOWSKA

* Używam określenia encyklopedycznego.

Kierownikiem Klinik AM, Dyrektorem, Ordynatorem i Lekarzem oddziałów szpitalnych w Łodzi i województwie dziękuję za umożliwienie mi uczestniczenia w dyżurach i zebranie materiału statystycznego. Z. T.

Listy do Redakcji

Ogromnie zainteresował mnie artykuł napisany przez Jerzego Widoka pt. „Batalla o Plac Wolności”. Jeżeli idzie o moje zdanie w tej całej sprawie, to popieram w całej rozciągłości tezy autora zawarte w jego artykule, które są słuszne i zasługują na poparcie. Plac Wolności powinien pozostać takim, jakim jest obecnie. Jest to jedyne miejsce, gdzie historia Łodzi spłata się z teraźniejszością i jest widoczna w całym swym wyrazie. I tak czy to będzie dawny ratusz z zegarem, gdzie mieści się dziś Archiwum Wojewódzkie, czy kościół garnizonowy lub kamienica zabytkowa z pierwszej połowy XIX w. — to wszystko jest historia uwieczniona w tych starych zabytkach historycznych. Tak że inne domy też mają swoją historię, dlatego nie powinno się niszczyć dawnych relikwii przeszłości, a tylko ochraniać je, konserwować dla przyszłych pokoleń.

Wyburzenie domów na tymże Placu Wolności nie powinno mieć miejsca, a tylko trzeba je zabezpieczyć przed niszczeniem, i już wyburzone domy winny być zastąpione budynkami dostosowanymi swą architekturą do ogólnego obrazu całości Placu Wolności, który jest tak drogi każdemu łodzianinowi i każdemu, kto

mieszka w Łodzi od wielu już lat.

TADEUSZ NIZIŃSKI

*

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

W związku z moim artykułem o „Wolnych Zartach” i ich wydawczyni p. Helenie Kokorzyckiej otrzymałem list od córki p. Jadwigi Kokorzyckiej. Autorka listu prostuje niektóre nieścisłości np. Romanina Hernicza zwerbował w Paryżu do współpracy z łódzkimi pismami Tadeusz Żeromski pisujący pod pseudonimem Jerzy Wrzós.

Autorka listu pisze m. in. „Nie mogę się zgodzić z Panem, że „Wolne Zarty” były niesympatyczne, bo do tej pory wszędzie je mile wspominają, nie tylko w Łodzi, ale w całej Polsce i poza granicami także. Po tylu latach

przychodzą listy, jak np. w zeszłym tygodniu z Afryki Południowej od Polaka, który pisał, że z wielką chęcią poczytałby sobie „Wolne Zarty”... „tylko myślę, że z kawałów bym się nie śmiał, a plakał z rozrzewnienia”.

Wydaje się, warto opublikować ten fragment, świadczy on, że omawiane w moim artykule pisma nie były bez znaczenia i miały swoich zwolenników. Autorka listu pisze dalej „Gdyby „Wolne Zarty” były niesympatyczne to by ich ludzie nie kupowali...”

Pozwól sobie pozostać przy krytycznym zdaniu o pismach, które zawsze miały obok zwolenników, grono surowych krytyków. Wydaje się jednak, że i w tej sprawie jak zawsze należy wysłuchać głosu przeciwnego.

JANUSZ DUNIN

Półka z książkami

KSIAŻKA O ESTREICHERACH

„Kronikę rodzinną” napisał Krystyna Grzybowska — zmarła przed siedmiu laty krakowska pisarka, córka prof. Stanisława Estreichera i żona prof. Konstantego Grzybowskiego. Te szczegóły wystarczą, aby rozumieć, że w „Kronice rodzinnej” znajdziemy świat krakowski uczonej, opowieści o ludziach znanych i trwałe zapisane w historii polskiej kultury.

Książka o Estreicherach jest ostatnią książką pisarki. Jest to istotnie kronika rodu, nie pomijająca szczegółów, drobnych zjawisk z zakresu życia obywatelskiego i rodzinnego,

wprowadzających jednak dobrze w atmosferę epoki. Książka oparta jest na bogatej tradycji rodzinnej, na pieczołowicie przechowywanych materiałach rękopiśmiennych. Szczegółnie nie na korespondencji wyzyskiwanej chętnie i często.

Stąd „Kronika rodzinna” ma walor dokumentu — zwłaszcza, że mówi o ludziach i sprawach tkwiących w polskiej kulturze od wielu dziesiątków lat. Dla miłośników literatury pamiętnikarskiej — a jest ich przecież w Polsce mrowie — wspomnienia Krystyny Grzybowskiej są pozycją, której nie można przeoczyć.

J.W.

Krystyna Grzybowska, „Kronika rodzinna”. Ossolineum 1969, cena 38 zł.

Lenin i książka

Książka towarzyszyła Leninowi przez całe życie. W domu rodziców, w szkole i uniwersytecie, w celi więzienia śledczego w Petersburgu, na zesłaniu na Syberii, na emigracji i w latach późniejszych, gdy był już na stanowisku wodza partii i państwa, Lenin nigdy nie rozstał się z książką.

W osobistej bibliotece Lenina znajdowały się książki z najrozmaitszych dziedzin twórczości i wiedzy ludzkiej. Między innymi, również z zakresu wojskowości, statystyki, filologii ścisłej, historii, etnografii itp.

We wspomnieniach blisko zaprzyjanej z W. I. Leninem Olgi Lepieszyńskiej, znajdujemy niezwykle interesujące szczegóły:

„Kiedyś, podróżując wspólnie, jechaliśmy z Iljiczem w jednym przedziale. Czytaliśmy. Zwróciłam uwagę na to, jak szybko Iljicz przesuwał kartki grubej książki, którą właśnie trzymał w rękach. Ledwie zdążyłam przeczytać dosłownie parę wierszy, a tymczasem, Iljicz przesuwał już następną stronicę. Rzuciłam spojrzenie na książkę, którą czytał. Był to gruby tom pewnego francuskiego miesięcznika literackiego.

— Włodzimierzu Iljiczu — zapytałam — co robicie?

— Jak to, co? — zdziwił się Iljicz — czytam!

— Ale potraficie tak szybko czytać? Chyba tylko przegłądacie?

— Nie, czytam, i to nawet bardzo uważnie.

— Tak szybko? — zdziwiłam się. — Macie rację — uśmiechnął się Iljicz. — Czytam istotnie szybko. Przyczyną jest to, że muszę koniecznie czytać bardzo dużo. Lubię i muszę. I właśnie, dlatego po prostu nie mam prawa czytać powoli.”

Dalej Lepieszyńska stwierdza, iż w ciągu dwóch dni wspólnej podróży „Włodzimierz Iljicz przeczytał tyle książek, że komuś innemu starczyłoby to co najmniej na kilka miesięcy”.

Czytać szybko i dużo Lenin nauczył się już od najmłodszych dzieciństwa. Według słów jego siostry, młody Włodzimierz Iljicz już wówczas był wielkim entuzjastą i wielbicielem poezji. Umiał do złota wierszy na pamięć i chętnie je recytował. Szczególnie podobały mu

się poetyckie utwory Puszkina oraz Niekrasowa. Wierność tym młodzieńczym upodobaniom zachował aż do końca życia. W parę lat później, do swoich ulubionych poetów zaliczył również Tiutczewa i Nadsona.

„Wiersze Nadsona — pisze w swoich wspomnieniach jeden z bliskich przyjaciół i współpracowników Lenina, Gleb Krzyżanowski — Włodzimierz Iljicz umiał prawie wszystkie na pamięć i bardzo chętnie je cytował w rozmowach”. Charakterystyczne jest, że tomiki poezji Tiutczewa i Nadsona znalazły się również w kremlewskiej podręcznej bibliotece Lenina. Zbiór ulubionych wierszy Tiutczewa stałe leżał na biurku w jego gabinecie. „Iljicz nieraz w chwilach odpoczynku sięgał po tomik utworów swego ulubionego poety i czytał znane mu dobrze wiersze Tiutczewa” — wspomina N. K. Krupka.

Na twórczość Niekrasowa w rodzinie Uljanowych pierwszy zwrócił uwagę ojciec, Ilja Nikołajewicz. Lenin przez całe życie niezwykle wysoko cenił twórczość tego poety. Również ojciec Włodzimierza Iljicza zapoznał dzieci z twórczością Dostojewskiego. Interesująco się przedstawia opinia Lenina o dziełach tego pisarza. Jego zdaniem, mimo pewnych tendencji jaskrawo reakcyjnych, jakie znalazły swój wyraz w niektórych jego utworach („Biesy”), Dostojewski — to „pisarz genialny”. Stworzył wstrząsające w swej szczerości i na wskroś prawdziwe obrazy realnego życia. „...Obowiązuje nas — mówił nieraz — jak zaznacza w swoich wspomnieniach W. D. Bończ-Brujewicz — dokładnie i wnikliwe przestudiowanie jego twórczości”. Najbardziej wysoko Lenin ocenił znany utwór Dostojewskiego pt. „Zapiski z martwego domu”.

O wielkiej roli, jaką odgrywała w życiu Lenina książka, utwory literatury pięknej, jako takie — pisze m. in. w swoich wspomnieniach N. K. Krupka. W liście wysłanym z Krakowa w grudniu 1913 roku do matki Lenina czytamy, co następuje: „...Największy głód, jaki odczuwamy, to głód beletrystyki. Wołania zna już prawie na pamięć i Nadsona, i Niekrasowa, i niektóre większe utwory poetyckie Puszkina. Zabłąkany tomik „Anny Kareniny” czytamy po raz setny. Nasze książki beletrystyczne (znikną część tych, które mieliśmy — w Pitrze) zostawił w Paryżu, a tu nie sposób dostać rosyjskie książki. Czasem z zazdrością czytamy ogłoszenia bukinistów o 28 tomach Uspienskiego, 10 tomach Puszkina itd.”.

Z klasycznej prozy rosyjskiej Lenin najwyżej stawiał utwory Czernyszewskiego, Sałtykowa-Szczedrina oraz Turgieniewa. Według słów Krupki, znane dzieło Czernyszewskiego pt. „Co robić?” Lenin po raz pierwszy przeczytał, mając zaledwie 14 lat. I od tego czasu pozostał aż do końca życia gorącym entuzjastą i wielbicielem twórczości tego pisarza. Z utworów Turgieniewa najbardziej wysoko ocenił Le-

nin powieść „Dym”. Liczne cytaty z różnych utworów Turgieniewa są przytaczane w szeregu prac samego Lenina. Interesujący szczegół, o którym wspomina Bończ-Brujewicz, świadczy najlepiej o głębokich, literackich zainteresowaniach Lenina. Przebywając na emigracji w Genewie, Włodzimierz Iljicz zamierzał napisać obszerną pracę krytyczną, analizującą niektóre utwory Turgieniewa. Na przeszkodzie temu stanął chronicznie odczuwany przez niego brak czasu.

Według własnych słów Lenina, jak nieraz wskazuje na to Krupka, ulubione przez niego dzieła wielkiego satyryka rosyjskiego Sałtykowa-Szczedrina „umiał i znał prawie wszystkie na pamięć”. Przeszło 400 razy Lenin przytacza w swoich własnych pracach cytaty z różnych dzieł Sałtykowa-Szczedrina.

Szeroko i powszechnie jest znana opinia Lenina o literackiej twórczości Lwa Tołstoja, którego uważał za „genialnego pisarza o znaczeniu światowym”. „Przed tym hrabią — mówił nieraz — nikt w literaturze nie stworzył prawdziwej postaci prawdziwego, żywego, realnego chłopca”.

Walcząc żarliwie z pozycjami politycznych i społecznych z tzw. „narodowcami”, namiętnie polemizując z Michajłowskim, Woroncowaem oraz innymi filarami „narodowców”, Lenin, tym niemniej wysoko cenił twórczość literacką takich pisarzy — „narodowców”, jak Gleb Uspienski, Rieszetnikow, i inni. Szczególnie podobały mu się opowiadania Uspienskiego z życia



robotników i biedoty wiejskiej. „Pisze prawdę, opisuje prawdę i „żyje” tą prawdą! A to jest bardzo ważne dla pisarza, dla jego twórczości!” — mówił Lenin o opowiadaniach Uspienskiego, jak świadczy o tym Bończ-Brujewicz.

O niezwykle szerokim wachlarzu zainteresowań Lenina z zakresu literatury pięknej świadczy m. in. spis tych dzieł, jakie znajdowały się w jego osobistej bibliotece na Kremlu. Spis ten sporządził własnie ręcznie sam Lenin. Figurują w nim dzieła wszystkich klasyków rosyjskich oraz światowych. Dużo utworów poetyckich. Satyry Kuźmy Prutkowa. Wszystkie dzieła Czechowa, szczególnie lubiane przez Lenina. Utwory Gorkiego, którymi specjalnie i stale się interesował. Bardzo wysoko cenił bajki ludowe

rosyjskie oraz innych narodów. Dzieła Korolenki i D. Mamina-Sibiraka. Książki autorów obcych: niemieckich, angielskich, francuskich, włoskich, a przede wszystkim — utwory A. France'a, Heinego, Londona, Rabindranata Tagora.

Z zakresu niezwykle szerokiego kręgu literackich zainteresowań Lenina warto wspomnieć o kilku mniej znanych, interesujących szczegółach. To właśnie Lenin redagował, przejrzał i przygotował do druku pierwszy przekład na język rosyjski sztuki Hauptmanna pt. „Tkacze”. Również z jego inicjatywy, w majątku Lwa Tołstoja „Jasna Polana” stworzono muzeum literackie, poświęcone życiu i twórczości wielkiego pisarza. Lenin sam ułożył, zredagował i podpisał dekret, na mocy którego powstało owe muzeum. Jednocześnie, wystąpił on z projektem i inicjatywą stworzenia muzeum tołstojowskiego w Domu Pisarza w Moskwie.

Pełniąc przez dłuższy czas funkcję osobistej sekretarki Lenina, stara bolszewiczka Helena Stasowa, zaznacza w swoich wspomnieniach, że Włodzimierz Iljicz bardzo prosił o przypilnowanie tego, aby go „stałe informowano o nowych, ukazujących się na bieżąco, utworach literackich”.

Po zgonie Lenina, jego osobista biblioteka podręczna liczyła przeszło 20 tysięcy książek w czterech głównych językach (rosyjskim, angielskim, niemieckim, francuskim). Jak zaświadcza Krupka, na poszczególnych stronicach prawie wszystkich tych książek „znajdują się robione ręczą Lenina liczne uwagi, podkreślenia itp. Warto nadmienić, że prócz okazałej liczby dzieł literatury pięknej, w bibliotece znalazło się przeszło 270 książek, poświęconych zagadnieniom literaturoznawstwa, krytyki literackiej oraz teorii i historii literatury. Przeszło 100 tytułów to książki, poruszające problemy sztuki, a zwłaszcza muzyki, malarstwa i rzeźby. I znów — charakterystyczny szczegół: w październiku 1921 roku Lenin prosi o dostarczenie mu z Niemiec „wszystkich, nowych utworów beletrystycznych o różnych kierunkach artystycznych, a także berlińskich nowości z zakresu estetyki, sztuki, historii...”

I jeszcze jeden wymowny dokument z września 1920 roku: Lenin zwraca się do biblioteki, istniejącej przy Rumiancewskim Muzeum w Moskwie z prośbą o dostarczenie mu historii filozofii greckiej oraz dzieł klasyków greckich (w „oryginalach”), a także prosi o słowniki: grecko-niemiecki, grecko-rosyjski, grecko-angielski. „Jeżeli tego rodzaju książek biblioteka z zasady nie wypożycza — pisze Lenin — bardzo proszę jednak o wypożyczenie wyżej wspomnianych książek na jedną noc! Rano zobowiązuję się je zwrócić...”

Warto przytoczyć własne słowa Lenina, które bardzo dobitnie charakteryzują jego poglądy na znaczenie i rolę książki w życiu człowieka: „Książka — to wielka, olbrzymia potęga!”.

POLONICA

WIERSZE POLSKIE PO RUMUŃSKU

W czasie odbywającej się niedawno w Bukareszcie konferencji przedstawicieli literatury socjalistycznych, urządzono wystawę książki orzduko zaprezentowano czasopiśma rumuńskie z opublikowanymi wierszami poetów różnych krajów. Wśród nich znajduje się wiele tłumaczeń z poezji polskiej, m. in. wiersze Iwaszkiewicza, Przybosa, Różewicza, Karłowicza, Jerzyny i J. M. Rymkiewicza. Polskie wiersze na język rumuński tłumaczyli Miron Chiropol, Stelian Grula i Marcel Mihailas. Przy sposobności warto przypomnieć, że „Noce i dni” Marii Dąbrowskiej w przekładzie Eleny Linta cieszą się w Rumuni duzym powodzeniem.

JK.

„NIEMCY” NA CZESKO-CIESZYŃSKIEJ SCENIE

W Czeskim Cieszynie dzieła od lat jedyny chyba poza granicami kraju zawodowy teatr polski „Scena polska”, która ma wielkie zasługi dla popularyzacji słowa polskiego w Czechosłowacji, kieruje obecnie znany aktor i reżyser Alojzy Nowak. W jego reżyserii odbyła się niedawno premiera „Niemców” Leona Kruczkowskiego. Inscenizacja ta stała się wydarzeniem kulturalnym w środowisku polskim w Czechosłowacji.

Warto podkreślić, że patronat nad tym przedstawieniem objął Polski Związek Kulturalno-Oświatowy i dzięki temu „Niemców” zobaczą mieszkańcy wielu wsi i miasteczek czeskiego Śląska Cieszyńskiego.

(er)

BIBLIOTEKA POLSKA W BUENOS AIRES

Kosztem ponad dwóch milionów pesetów, pochodzących ze składek Polonii, wybudowano w Buenos Aires wielką bibliotekę im. Ignacego Domeyki. Biblioteka ta liczy przeszło dziesięć tysięcy tomów dzieł polskich. Jest to największy zbiór polskich dzieł naukowych i literackich w Ameryce Południowej.

(f)

POLONICA

Trudna droga do nowoczesności

Dalszy ciąg ze str. 1

stawowym ogniwem, mającym wpływ na postęp techniczny nie tylko w krajach średnich, o ograniczonych możliwościach gospodarczych, ale również w krajach bogatych. Jakże to ma znaczenie dowodzi przykład z dziedziny włókien syntetycznych. Tylko dwa koncerny na świecie, jako pierwsze opanowały technologię produkcji włókien poliestrowych i dzięki temu mogły sprzedać ją pozostałym krajom świata, które dalej ją rozwijały.

Z tego wynika, że istota postępu technicznego sprowadza się nie tylko do szybkiego przekazywania przez myśli, ale też do zdolności tego do rozpowszechnienia produkcji. Ostatnie słowo ma zatem technika i zdolność opanowania rynków na korzystnych warunkach.

Winniśmy dokonać — i dążyć się do tego — najbardziej korzystnej selekcji kierunków rozwoju gospodarstwa i skoncentrowania tam badań. Jedną z takich dziedzin jest niewątpliwie chemia, ale jest to szeroka

dziedzina gospodarki i dlatego należy jeszcze dodatkowo dokonać selekcji wewnątrz niej.

Selekcja i koncentracja winny być zatem nie metodą postępowania w poszczególnych drobnych przypadkach, ale określoną polityką gospodarczą. Jej istotą jest wybór dużych gałęzi gospodarki i stwarzanie im warunków wszechstronnego rozwoju.

CZ. KUPCZYŃSKI — W takim rozumieniu istoty selekcji musi być wątplenia inaczej wyglądać zadanie informacji naukowej. Praktycy czują wyraźny niedostatek informacji naukowej i technicznej. Często informację tę robi się w sposób nie umiejętny. Wynika to stąd, że po pierwsze — do pracy tej kieruje się ludzi nieprzydatnych w innych dziedzinach, a po drugie — i to jest powód najistotniejszy — nie przywiązują się do spraw informacji większego znaczenia. Kazali, to trzeba zrobić, ale pożytku z tego i tak wiele nie będzie. Tymczasem nie można mówić o selekcji bez prawidłowo prowadzonej informacji. Muszą ją

zrobić ludzie z dużą praktyką, którzy wylowią szybko najważniejsze sprawy i potrafią przekazać innym.

„ODGŁOSY” — Do tej pory mówiliśmy o jednej stronie zagadnienia — o sferze nauki. Nie można na tym poprzestać. Jeśli bowiem przy miemy, że selekcja prowadzi do skoncentrowania wysiłków w niektórych tylko dziedzinach, to w pozostałych będziemy zmuszeni do kupowania licencji. Niezależnie jednak od tego, czy przemysł otrzyma własne rozwiązanie, czy obce, to najpierw trzeba znać odpowiedź na pytanie: czy jest on w stanie szybko wprowadzić je w życie? Dotychczasowa praktyka mówi, że nie zawsze. Dlaczego?

G. WŁODARSKI — Postęp dokonuje się w dwu płaszczyznach — w placówkach naukowych i w przemyśle. Powiedzieliśmy tu pokrótce, co hamuje postęp w nauce — zbyt nie rozproszenie wysiłków, które przynosi ze sobą zły stan wyposażenia w aparaturę i jest przyczyną innych grzechów głównych.

Drugim hamulec postępu technicznego jest brak gotowości przemysłu do sprawnego realizacji wynalazków lub usprawnień. Brak ten wiąże się z wielkim rozmachem inwestycyjnym w kraju, co ma taki skutek, że większość mojej produkcyjnych przedsięwzięć budowlanych jest już zablokowana na lata następne. Tymczasem postęp techniczny wymaga szybkiego nie zaw

sze dającego się łatwo zaplanować — działania.

Przy tym wszystkim zapomina się często, że cykl: badanie, pomysł, wynalazek, projekt, produkcja doświadczenia i przemysłowa musi trwać kilka lat. I tak jest też w krajach wysoko uprzemysłowionych. Jeśli aktualny stan techniki nie za dowala nas, to przyczyną tego leżą w czasach, kiedy przemysł dopiero rozwijał się a baza naukowa — organizowała. Zmiany, jakie wprowadza się obecnie, dadzą o sobie znać za 5 lub 10 lat.

CZ. KUPCZYŃSKI — W przemyśle znajduje to swój wyraz w stanie wyposażenia bazy doświadczalnej, która powinna pozwolić na adaptowanie wynalazków, co powstało w instytucjach naukowych czy na wyższych uczelniach. Tu już nie można ograniczać się tylko do laboratoriu, trzeba wyjść z niektórymi doświadczeniami do hal produkcyjnych, a to nie zawsze jeszcze jest możliwe. Daje tu znać o sobie dożadne myślenie i bardzo często dla kierownictwa np. przedsiębiorstwa ważne jest, aby nie zabrakło kilku kg przedży do wykonania planu, niż zwolnienie kilku maszyn dla przeprowadzenia doświadczenia, od którego może zależeć przyszłość tejże przedsiębiorstwa.

Wydaje mi się, że niezależnie od wprowadzenia wszystkich czynników materialnych i organizacyjnych, za pewniających postęp techniczny, musi być jeszcze sprzyjający klimat.

Do tej pory można obserwować, jak fabrykom narzuca się postęp, a one bronią się przed nim. Nie zdarzyło się jeszcze aby jakakolwiek fabryka uciepiała tylko z tego powodu, że produkuje przestarzałe wyroby, że nie unowocześnia parku maszynowego, technologii wytwarzania i organizacji. Ciągłe jeszcze obowiązuje wykonanie planu we wszystkich wskaźnikach, ale mało kto zastanawia się, co jest przedmiotem tego planu i w jaki sposób jest on wykonywany.

J. SKRĘTNY — To prawda, że dotychczas może zbyt mało uwagi zwracało się na nowoczesność samych wyrobów, choć w programach pracy przedsiębiorstw na następne lata zakładamy pewien wzrost wyrobów nowoczesnych, o standardach światowych. Dla mnie jednak równie ważne jest i to, czy nowoczesność wprowadza się do fabryki w nowoczesny sposób? Przykłady dowodzą, że nie zawsze. Dla tomaszowskiego „Tomtenu” kupiliśmy krosna bezczółkowe, papierowe ale kupiliśmy już dla fabryki gotowej. Nie było możliwości zakupienia kilku egzemplarzy wcześniej i nauczenia ludzi w odpowiednim czasie ich obsługi. Przedłuża to czas dochodzenia do zaprojektowanych mocy produkcyjnych oraz niekorzystnie wydłuża czas zwrotu nakładów na nowe przedsiębiorstwo. Chodzi więc o to, aby w oparciu o te doświadczenia można było uniknąć takich błędów, szczególnie teraz, kiedy czyni się wysiłki zmierzające do

Donos w sprawie zardzewiałych noży

W Zakopanem odbywały się akurat Mistrzostwa Polski dziennikarzy w koszykówce. Łódź przegrała z Warszawą, ale wygrała z Kielcami i Rzeszowem. Czekałimy właśnie na ostatni mecz z Bydgoszczą, który miał zdecydować o trzecim miejscu.

Spotkanie wyznaczono na piątą wieczorem. Było dużo czasu. Wyszliśmy z hotelu i snułem się samotnie po ulicach. Zawędrowałem na Bystre, gdzie kiedyś chodziłem do szkoły i na Jaszczurówkę, gdzie kiedyś mieszkalem. Szukałem śladów dzieciństwa, ale wszystko się zmieniło. Powyrastały nowe domy, wille, pawilony. Padał mokry śnieg i mroziło się trochę, więc mi mo szereg dnia w górskich chałtach na łagodnych stokach gór płuła elektryczność. Na grząskich, wyboistych podjazdach widać było samochody i motory — zdobywcę cywilizacji, którymi górali posługują się nie gorzej niż sankami i narciami. Tu i ówdzie gięły się na dachach telewizyjne anteny. Turyści brnęli wytrwale przez roztopy w górskich butach i zakopiańskich kozuchach, a młodzi tubylcy obnosili z dumą środkowopolskie stroje. Pierwszą porykiwali dziarsko piosenką o Janosikach i Huculach, drudzy grali na tranzystorach i śpiewali big-beat.

Harmider. Zszedłem w dolinę Jaszczurówki, żeby poszukać wielkiej samotności. Ale wszędzie było pełno ludzi. Dzieciaki grzebały palmy na rwącym potoku, młodzież obrzucała się twardymi pecynami śniegu, starzy robili sobie wielkie oddychanie, popatrując zachwyconym wzrokiem na przymglone szczyty.

Harmider. Czegoś żał. Siadłem w autobus i wróciłem na Krupówki. Przypomniałem sobie o meczu. Chłopaki mieli trzy dni wielkich wyrzeczeń. Chodzili spać o dziesiątej, od samego rana trenowali. Weignęła ich ta sportowa zabawa. Przyjechali niby na odpoczynek, ale z miejsca zagrały ambieje: walezyli o piłkę z dziwkami zapamiętaniem, a po meczu je den pilnował drugiego, żeby był wypoczęty i przypadkiem nie napił się wódki. Organizatorzy Mistrzostw wynajęli sanie i urządzili kuligi, ale jeśli ktoś pił, to powożący górale. Organizatorzy urządzili w wigilię finałów wielki bal w „Wierchach” ale o dwunastej nie było już na sali ani jednego dziennikarza -

sportowca, a przy barze i na parkiecie kręciła się złota młodzież. Sport — to potęga! No, ale jak już będzie po wszystkim, czyli po tym meczu z Bydgoszczą, to chyba trzeba będzie wypić po jednym, żeby przy pieczętować sukces. Postanowiłem zrobić im niespodziankę. Wszedłem do sklepu, żeby kupić symboliczną ówiartkę. Ale ówiartek nie było. Stały koniaki po dwieście i winiaki po sto pięćdziesiąt. Nie miałem pieniędzy, więc wszedłem do drugiego sklepu. Też nie było. Wówczas przeczesałem wzrokiem ulicę i podszedłem do górali w utyłanych parzeniach i zsuniętym na czoło kapeluszu...

— Pani, gdzie tu jest monopol?
— Pan idzie ze mną. Też tam idę.
— Ale ja chcę tylko ówiartkę.
— A ja dwa litry.
— Co to? Wesele?
— Eee, krzciny.

Mówił to gardłowym głosem, a od dech miał nieświeży, więc ucieczyłem się, kiedy zapalił dla dezynfekcji papierosa w wiśniowej, długiej, zakopanej łufce. Słuchałem go uważnie, kiedy wychwalał uroki Zakopanego: lepiej tu jak w Ameryce; głupek handluje jajkami i serem, a mądre ludzie żyją zimą z koni, a latem z taksówek i z dorożek; pieniądze się sypią jak trza, ludziska stawiają sobie nowe domy po trzyście i czterysta tysięcy, ale to już nie są prawdziwe góralskie domy, bo wyszło zarządzenie, że wszędzie muszą być wodociąg, kanalizacja, gaz, światło i inne cuda, i tylko dachy mogą być stylowe — ale znowu musowo pokryte blachą.

— Ma pan taki dom?
— Mom.
— A konia?
— Tyz mom.
— A samochód?
— Tyz. A jagneł!
— To czemu pan chodzi pieszo?

Zaśmiał się i uderzył ręką w grdykę, pokazując, że w tym stanie jeździć po mieście niebezpiecznie. Rozśadny gość.

Pod Gubałówką skręciliśmy w prawo. Na wprost bazaru z ciuchami był monopol. Kupiłem ówiartkę,

a on położył na ladzie z góry odliczone pieniądze i dostał cztery pół litrowki. Dwie schował za pazuchę, jedną do kieszeni w spodniach, a jedną trzymał w ręce. Kiedy wychodziliśmy z monopolu, posłiznął się na oblodzonych schodach i grzmotnął o chodnik. Pękła butelka, którą trzymał w ręku, tak, że skaleczył się trochę. Pomogłem mu wstać. Był w dobrym nastroju. Zessał krew z okaleczonej dłoni, dowlókł się jakoś pod mur, siadł sobie wygodnie, beztrudno na gołej ziemi i mrucząc coś pod nosem zaczął otwierać jedną z ocalałych butelek. Podał mi, żebym pił, ale podziękowałem pić nie, bo jestem przecież urodzonym abstynentem, a ta ówiartka, to tylko dla chłopaków.

— Powinniście iść do domu — mówię.
— Eee.
— A chrzciny?

— Poczekają. — Machnął ręką, pokazując, że mu wszystko wisi. Chłapał sobie przyzwyczajenie, aż mu pociekło po brodzie.

Kiedy go pożegnałem i przeszedłem na drugą stronę ulicy, żeby obejrzeć targowisko z ciuchami, zobaczyłem, że ruszyło mu z pomocą dwóch górali, co stali na postoju z sankami. Wypili tego pół litra; jeden, ten młodszy, wskoczył do monopolu i uzupełnił zapas; miał więc znowu cztery półlitrowki. Wziął go pod pachy, doprowadził do sanki, posadzili wygodnie, okryli baranym kozuchem, żeby się przypadkiem nie przeziębił i powieźli na rozdzinną uroczystość.

A ja weisnąłem się w zbitą, falującą ciżbę, która handlowała, czym popadło.

— Ha ta kurteczka? — pytam ewaniaka, który stał na skraju targowiska w modnym, białym kozuchu. Wyglądał na playboya z Warszawy, ale mógł być także z Krakowa.

— I tak nie kupisz — powiedział i uśmiechnął się z przekąsem.
— Może kupię.
— Trzynaście.
— Jak, trzynaście?

Odwrocił się do mnie plecami. Inny playboy sprzedawał kwadratowe, złote i srebrne zegarki o miśternych bransoletkach. Teraz takie są w cenie.

— Ile? — pytam.
— Dwanaście.
— A ten drugi?
— Szesnaście.
— Pan pokaże. — Wziął zegarek do ręki. Ktoś szturchnął mnie w plecy. Usłyszałem gorący, podniecony szepot: *„Ważne!”*

— Niech pan tego nie bierze! On to ukradł. On to wczoraj gwizdał w „Watrze”.
— Skąd pan wie?
— Pan pozwoli.

Oddałem zegarek. Ten, co szepotał, odciągnął mnie na stronę.
— Mam coś dla pana.
— Co takiego?

Pokazał ukradkiem taki sam złoty, kwadratowy zegarek o misternej bransoletce. Nie pytałem, komu to zginęło. Akurat komuś ukradli portfel i na rynku było zamieszanie. Zrozpaczony turysta załamywał ręce i rozglądał się bezradnie

dokoła, otoczony pierścieniem zimnych, bezlitosnych twarzy.

— To chyba Ciapek — twierdził jakiś chłopak.

— Na pewno Ciapek — powiedział drugi.

— Na Ciapka to trzeba uważać — powiedział trzeci. — Jak jest tylko trochę tłoku i widzę Ciapka, to sam się trzymam za kieszenie.

— Jaki Ciapek? — zapytał zrozpaczony turysta, chwytając się za serce.

— Ten od łapek.
— Chi, chi! — zarechotała otyła kobieta w sztucznych karakulach. — To dobre, chi, chi! Ciapek od łapek. — Rozejrzała się i nagle wydała przeraźliwy okrzyk, bo gość, któremu dała przymiarkę wiśnio w polskie polo z włoską motką, znikł z pola widzenia.

— Gdzie on poszedł? Jezus Maria! Gdzie poszedł? — wykrzykiwała szarpiąc się za włosy.

— Tam, tam! — krzyceł chłopaki i wskazywali wszystkie cztery strony świata.

Cudzoziemcy, których na targowisku było sporo — Francuzi, Niemcy, Szwedzi, Węgrzy, Bułgarzy — trzymali się przezornie za kaptury, nie rezygnując jednakże z prób sprzedania swoich bubbli. Nie nie kupowali, a wyprzedawali się szybko, za bezcen, korzystając z pomocy przygodnych tłumaczy.

Kiedy napatrzyłem się do syta tym i podobnym scenkom, wycofałem się z przechodzącego targowiska i pojechałem kolejką na Gubałówkę. Miałem jeszcze trochę czasu i tam, u stóp Boga, tysiąc dwieście pięćdziesiąt trzy metry nad poziomem morza, spodziewałem się doznać wzniosłych wrażeń. Ale trafiłem na jeszcze większy młyn. Było tam wszystko to, co na dole: gaździny handlujące osepkami, górale z saniami, białe niedźwiedzie porykujące ludzkim, przepitym głosem, cała armia fotografów, bar, restauracja, stoiska z pamiątkami; ludzie od lat pięciu do dziewięćdziesięciu pięciu przewracali się na nartach pod opieką dobroduszych instruktorów. Na dodatek, w pewnej chwili usłyszałem ostry, wyrafinowany, klezmerski gwizd, którym muzycy nawołują się we wszystkich krajach świata i dopadł mnie gość w narciańskiej bluzie; futrzana czapa, welwetowe spodnie; wiedziałem o nim mało: mieszkał kiedyś w Łodzi, grał na pianinie w trzeciorzędnych knajpach; ożenił się, narobił dzieciaków, ale źle mu było w rodzinnej atmosferze, więc wyjechał z miastą podając żonie dęty adres, żeby go, co nie daj Bóg, nie nekala alimentami.

— Czołem, czołem — powiedział. — Bardzo się cieszę.

Podaliśmy sobie ręce. Przyniósł dwa leżaki. Usiedliśmy, przykrywając się obrzępionymi kocami. Patrzyłem na góry, a on opowiadał mi po pieśni najnowsze wiadomości z wielkiego świata; kto z kim, za ile, kto do przodu, a kto w tyle...

— O, widzisz pan, ta dziewczyna w kaecen-brylach...

— Co to są kaecen-bryle?
— Niech pan nie przerywa. To są okulary z podpalanym szkłem, które

re wkłada się po pijaństwie. No więc ona widać wzięła się wczoraj na minę. Myślała, że podchodzi pod Szweda, bo mówił biegle po angielsku, a to był zwyyczajny łobuz z Warszawy i po dansingu, kiedy szli do niej na Bystre, dał jej w czapkę, aż upadła w śnieg i jak się przecknęła, to była w samej sukience, bez futra i, normalnie, bez butów, i jeszcze innych drobniaków jak dolary, biżuteria i zegarek, i pan sobie wyobrazi, że on wyjechał, a ona nie ma odwagi zacynkować sprawy na emo.

— Weale jej się nie dziwię.

— No, wie pan! Ale swoją drogą życie jest nieraz skomplikowane. Pan zobaczy tego gościa w białym skafandrze. Też wladował się na niego. Poznał dziewczynę, miejscową, ale nie góralkę tylko zakopiankę, poszedł z nią na dansing, a później do hotelu, wie pan do którego hotelu? To dobry numer. Tam jest restauracja, ale niezbyt, bo kelner, który się najbardziej awanturowuje (bije i oszukuje gości) jest przewodniczącym rady zakładowej i nie ma podstaw prawnych, żeby go zwolnić; więc zamknął lokal, zwolnili starego agenta i szukają nowego, który ma prawo dobrać sobie nowy personel. W taki sposób przewodniczący rady zakładowej zostanie chyba bez pracy. No, ale do rzeczy. Więc jak rano wyszli z hotelu, czekało na nich dwóch młodych ludzi z nożami. To byli jej bracia. On wycałował sytuację i cofnął się, a oni pobili siostrzyczkę i już od tygodnia chodzą za nim krok w krok. Jak nikt nie widzi, to mu pokazują noże i ten starszy, który już siedział w więzieniu, mówi tak: „Widzisz, frajerze, ten noż? On jest teraz zardzewiały. Ale on kiedyś bardzo błyszczał. I on niedługo znowu będzie błyszczał”. Ciary człowieka przechodzą. Co, pan już idzie?

— Niestety.

— To idę z panem. Wsiadliśmy z załoczoną kolejką. Odprowadził mnie do hali, w której odbywały się Mistrzostwa.

Chłopaki rozgrzewali się na boisku. Ci z Bydgoszczy — też.

Sędzia dał znak, żeby grać. Z początku wszystko było dobrze, ale po przerwie, mimo rozpaczliwego dopingu, Łódź poległa z honorem różnicą czterech punktów.

Wawrzkiwicz schodził z boiska przygnębiony. Waeh, najlepszy tego dnia w naszej drużynie — wściekły. Wojciechowski próbował nadrabiać miną i opowiadał, jak wykołował tego obrońcę z Bydgoszczy: „Akurat oni mieli piłkę i grali na czas, a ja: „Pan pozwoli, panie kolego, pan pozwoli!” „Po co?” „Pan pozwoli!” Podszedł i mówi: „Słucham pana?” A ja do niego: „Panie kolego, czy pan wie, że tutaj nie wolno panu stać?” Sędzia gwizdał i piłka nasza...”

— Co z tego? — powiedział Waeh.

— No właśnie — powiedziałem. — Co z tego? — Wsadziłem rękę do kieszeni, żeby wyjąć ówiartkę, ale kieszeń była pusta. Kto to zrobił? Ciapek? A może ten z Gubałówki? Byłem bardzo zły, ale już po chwili ucieszyłem się, że nie skażę niczym tej przepięknej, sportowej atmosfery.

wprowadzenia nowych technik i technologii, np. przy produkcji przedmiotów tekstylnych czy tkaninopodobnych. Trzeba zatem wcześniej kupić nowe maszyny i to w odpowiedniej ilości i przygotować ludzi do pracy przy nich. Nie jest jednak wystarczającym rozwiązaniem sprowadzenie 2 maszyn, które pracują w Bielsku-Białej i jednej dla Łodzi.

J. THIELE: — Sprawne wprowadzenie postępu technicznego istotnie zależy od dwóch czynników — jak rozwija się myśl twórcza w sferze nauki i jak jest ona wprowadzana do produkcji. Nie analizując jakości pracy placówek badawczych, trzeba powiedzieć, że opanowały one dostatecznie nowe technologie wytwarzania na poziomie laboratoryjnym lub w skali półtechnicznej, czy prototypowej. Trudności występują dopiero przy przejściu na poziom przemysłowy. Dotyczy to głównie nowych konstrukcji maszyn i urządzeń, warunkujących stosowanie nowych technologii. Poprawę powinna przynieść odpowiednia koordynacja działania przemysłów współpracujących ze sobą we wszystkich fazach: badania i wdrażania nowości do produkcji. Nowy tryb planowania postępu technicznego zapoczątkowany uchwałą IV Plenum KC PZPR stawa rza tu odpowiednio możliwości.

Drugim ważnym czynnikiem sprzyjającym postępowi technicznemu jest doskonalenie organizacji pracy i me-

tod zarządzania. Nowe techniki obliczeniowe i wykorzystanie maszyn cyfrowych pozwalają szybko poznawać sytuację przedsiębiorstwa i w oparciu o tę ocenę podejmować decyzje. Wymaga to jednak stworzenia odpowiednich warunków w przemyśle. Np. w przemyśle bawełnianym już od 1966 roku wprowadza się nowe techniki obliczeniowe, jednak zasięg tego działania mógłby być większy, gdyby można było dysponować dłuższym czasem.

„ODGŁOSY”: — Mówimy często o postępie technicznym w taki sposób, jakby było to działanie automatyczne. Zapominamy, że postęp wprowadzają ludzie. Zapewne istnieje cały splot czynników, które ten trudniący, ale wydaje się, że najważniejszym czynnikiem zarówno sprzyjającym, jak i hamującym są ludzie i ich kwalifikacje.

J. THIELE: — Tylko, że kwalifikacji ludzi pracujących, czy to w sferze nauki czy przemysłu nie można odrywać od konkretnych warunków organizacyjnych. Ludzie muszą mieć możliwość wykorzystania swojej wiedzy i dalszego jej rozwijania. W nauce np. utrudnia to nadmiar prac doraźnych, które zupełnie niepotrzebnie zabierają czas i umiejętności. Sądzę, że jest to jednak wynik złej organizacji i powiedziałbym — wadliwego podziału kwalifikacji między nauką a przemysłem.

Przykładem tego może być słabość zakładowych placówek badawczych, co prowadzi w konsekwencji do an gażowania czasu i ludzi z placówek branżowych.

Coraz powszechniej trzeba będzie wprowadzać nowe technologie, stosować urządzenia elektroniczne, automatykę oraz wykorzystywać elektryczną technologię obliczeniową i metody matematyczne do doskonalenia metod zarządzania. Podobać tym zadaniom można będzie tylko wtedy, jeśli przemysł będzie dysponował odpowiednimi placówkami w większych zakładach, które będą w stanie przygotować przyjęcie tych nowości. W innym przypadku nastąpi rozdźwięk między stanem przygotowania postępu technicznego, a możliwościami wprowadzenia go w życie.

J. SKRĘTNY: — W przemyśle wełnianym można znaleźć potwierdzenie tego założenia. Na około 35,7 tys. pracujących mamy zaledwie 473 pracowników z wyższym wykształceniem, a w tym 269 inżynierów i 118 ekonomistów. Stanowią oni 8 proc. ogółu pracowników umysłowych i 1,3 proc. wszystkich pracujących. Trzeba jednak zdawać sobie sprawę, że w konkretnej pracy decyduje nie tylko dyplom, ale również doświadczenie, a kadra z wyższym wykształceniem zaczęła napływać do przemysłu wełnianego od niedawna i dlatego w dużym procencie są to stażyści bądź ludzie z niewielką praktyką.

Jeszcze większym niebezpieczeństwem dla postępu technicznego jest niedostateczna dotąd liczba techników, technologów i ekonomistów ze średnim zawodowym przygotowaniem. Przyczyną tego jest stale nie wystarczający dopływ młodzieży do szkół pracujących na potrzeby przemysłu lekkiego, a przede wszystkim to, że wśród uczniów tych szkół przeważają dziewczęta, z których tylko niewielki odsetek podejmuje pracę w przemyśle.

Trzeba też powiedzieć, że prawie połowa pracowników umysłowych przemysłu wełnianego to ludzie z wykształceniem podstawowym. I ten stan trzeba zmienić jak najszybciej, lecz to znów ma związek z siecią szkół zawodowych i ich wyposażeniem. Często stosuje się jeszcze taką praktykę, że techników np. kształcą na starych i przestarzałych maszynach, których przemysł coraz intensywniej pozbywa się. Jest to strata czasu, pieniędzy i kilku lat życia ludzi, bo w nowej fabryce muszą uczyć się wielu rzeczy od nowa, rzeczy których powinni byli nauczyć się w szkole.

R. TALACH: — Możemy działać tylko w określonych warunkach i powodzenie działania zależy od an lizy konkretnych. Nie można opierać działania na marzeniach i dobrych życzeniach. Jeśli brak nam kadry, to trzeba ją przygotowywać zarówno w uczelniach, jak i szkołach i trzeba ją po prostu douczyć. Uniwersytet Łódzki ma dobre doświad-

czenia z kształceniem podyplomowym. Ekonomista po kilku latach zapomnia o pewnych sprawach, a niezależnie od tego nie wie o rzeczach, które akurat stały się aktualne, a przedtem nie było ich jeszcze w programie wyższej uczelni. Trzeba mu tę lukę uzupełnić. I tak jest chyba we wszystkich zawodach. Nieprzypadkowo powiedziałem tu o ekonomistach, bo wydaje się, że przy wszystkich rozważaniach o postępie technicznym nie bierzemy pod uwagę rachunku ekonomicznego. Ciągłe jeszcze zapominają się o nim i zapominają się też przy postępie technicznym, a dopóty tak będzie, dopóki będziemy mitologizowali postęp techniczny. Gdy rachunek może po kazać, że to co nazywamy postępowem z punktu widzenia ekonomicznego nie jest wcale takie rewelacyjne.

„ODGŁOSY”: — Wielokrotnie podkreślano tutaj, że o postępie technicznym decyduje wiele czynników. W przeprowadzonej rozmowie przyświecał nam cel pokazania trudności, występujących w momencie zetknięcia nauki z przemysłem. Nie o wszystkim powiedziano, a także nie na wszystko znaleziono doskonałą radę. Nie o to chodziło. Celem tej rozmowy było zasygnalizowanie niektórych spraw, wydobycie ich spośród innych, aby pokazać ich znaczenie przy dalszej realizacji uchwał IV Plenum KC PZPR.

Notował: LUCJUSZ WŁODKOWSKI

JAK MAŁENKI

Rankiem stryjaszek przyszedł razem z ciotką na gumno obijać len. Ledwie uchylił skrzypiące wierzeje, wdarło się do środka młode, rumiane słońce. Stryjaszek aż ręce unosił z podziwu:

— O mój - że ty bratku! Popatrz no tylko. Hanka! I patrzą oboje. Na klepisku stoi w snopkach len a nad nim w słońcu błyszczą pajęcza siatka. Pająk przeciągnął spod strzechy aż do lnu srebrną nitkę, na której trzyma się przymocowana u spodu srebrna siatka. Jest jak ta gwiazda promienista, w jądrze której sam budowniczy — pękaty, pstry pająk. Od niego, jak promienie od gwiazdy, rozchodzą się na wszystkie strony nitki pajęcze, przeplecione coraz większymi kręgami. Migoce, śmieje się wesołe słońce, rudym złotem mienia się główki i łodyżki lnu, pajęcza sieć pulsuje kolorami tęczy — każda niteczka osobno.

— O! — uśmiecha się stryjaszek — Zanim my to i owo, to on się już zdążył napracować. A - ja - jaj! Rozciągnij ty człowieku takie sznurki! I jak się on nie pokaleczy?...

— I prawda — mówi ciotka — daje Pan Bóg każdemu stworzonku swój pomysłu. Przeplatał, przeplatał, tkal i tkal — a teraz sobie usiadł i odpoczywa, zmęczony się...

— A wiesz, Hanka, — zaczął stryjaszek po krótkim milczeniu takim głosem, jakby mu było niezręcznie —

jakby tak jego... jak i brać się za niego... Wszystko jedno — nijak by było...

Sięgnął do kieszeni po machorkę. Spojrzała ciotka na swojego chłopca i uśmiechnęła się: — Ty — powiada — ojczynek, zawsze jak malutki dzieciak. Przecież pająk sobie — a my sobie. No, bierz i wy noś len, niech przesychna na słończku... A ja może pójde na gęsi popatrze, jak ona tam je pasie.

I poszła poza gumno. Stryjaszek skreślił papierosa, zapalił, oparł się o belkę, stoi, popala. „Wala! Wala! houu! — rozległ się zza gumna głos żonki — żeby cię rozsądziło jak żabę... A gdzie twoje gęsi, co?” I słyhać było jak ciotka chlupała w biegu po rosistym, zmierzwiwym mokradle. „Da ona wytrząsk tej malej” — pomyślał stryjaszek wpatrzony w pajaka. Potem splunął chyba dwudziesty raz, rzucił niedopałek, rozdeptał i, jakby ocknąwszy się, sięgnął po pierwszą z brzegu wiązkę lnu.

— Cóż ty się rozsiadł, jak jaki pan? — powiedział stryjaszek i szturchnął pajaka siatką.

Pająk poruszył się niespokojnie, stał się czujny. — No, no, mądry to ty jesteś ale nie całkiem — i pociągnął za pęk. Kilka nitek pajęczej osnowy posunęło się za pajakiem, siatka wyciągnęła się, zwinęła. Pająk najpierw zaczął zgarniać ją ku sobie, ale spostrzegłszy, że „nie prosiła w głowie, gdy świnię osmalają” — pobiegł po nitce pajęczyny pod strzechę i schował się. Stryjaszek dźwignął wtedy dwa snopki lnu i pociągnął za nimi pajęczynę...

I cała jej wspaniałość rozprysła się, jak bańka mydłana.

Stryjaszek rozciął snopki na klepisku, siadł na nim — i dawał prać janką po główkach lnu.

I myśli sobie: „Nieboszyk ojciec był cieślą i mnie zaczął brać ze sobą na robotę od piętnastego roku życia. To już dwudziesty trzeci roczek mija, jak sam wlecze się po zrębach, i marzniesz, człowieku, i kińiesz i pieczesz się jak ten rak na słońcu. A to jak szurnałem raz z rusztowania, kiedy Klimaszkiowi dach na gumno zaciągaliśmy... i

gospodarka nieszczęsna, tak samo, szarpiesz się, człowieku, jak kozioł, jak baran, trzepiesz się jak ta ryba na lodzie — i cóż ci z tego. Zdarzył się i pożar. Przyjechałem z lasu — zastałem tylko gumna... Chata i dzisiaj jeszcze stoi bez komórki. Zresztą, jaka tam chata! Jedno próchno! Zlepiłem ją jako tako, słomy trochę kupiłem, trochę wyżebrałem”.

I przypomniał się stryjaszkowi owo przedwiośnie, błoto w Zagórze, i on sam, głodny i zły jak idzie po błocie z cudzego podwórza... Pod pachą snopki słomy, obsuwał się powrócił, poprawia czapkę, którą przed chwilą zdejmował, dziękując za wyproszony dar...

— Nooo, Marusia! — woła z góry na kobyłę, która stoi po środku drogi niemal po kolana w zimnej mazi z obwisłymi fałdami skóry u pyska i drzemie. — Ech! podkurczyła się, padła! Niezego nie wydumasz, ja za ciebie wozu nie pociągnę. Noooo!

Kobyłka napięła się całą swą siłą — skóra i kości — i popłynęła po błocie przed siebie. A stryjaszek czaił się z boku.

Ale potem, późnym wieczorem, skurczywszy się na wyżebranych snopkach, długo, długo jedzie tą furką do chaty. Na kwatere, do cudzej chaty, sam ze swymi czarnymi myślami... Ze złością pogania kobyłkę i nasłuchuje, jak koła na drewnianych obreczach skrzypią po wybojach: raz chlupie woda, raz trzeszczy lód. Cierną mu przemoknięte nogi, kieszki z głodu marsza grają. Nad błotem jeżą czajki, pewnie tak samo jak on głodne, przemarnięte, bezdomne i gniewne...

Ech, ty, dolo nasza, dolo uszargana!

Ale czemuż to, bracia kochani, odzywa się w sercu cudzy ból, cudze nieszczęście? Czemu ręka się wzbrania przed zbuczeniem cudzej, utkaniej ciężką pracą, pajęczyną? Czemu zawsze, jak ten malutki — tak o nim mówi Hanka — gdy tylko zobaczy albo usłyszy coś pięknego, musi na to patrzeć, cieszyć się i słuchać rozdziału swego, musi zapomnieć o wszystkim innym na świecie, nawet o własnej doli, nawet o tym że jego samego nikt nigdy nie pożałuje?...

(Tłum. Maciej J. Kononowicz)

SAMUEL BECKETT

MOLLOY

W książce „James Joyce” (New York, 1959) Richard Ellman pisze: „Beckett był równie milczący jak Joyce; zaczęli rozmowy, które często kończyły się na wykanie milczenia, obaj zasmuceni, Beckett — światem, Joyce — samym sobą. Joyce siedział w swej zwykłej pozycji, ze skrzyżowanymi nogami; Beckett duży i równie szczypty przyjmował podobną pozycję. Nagle Joyce zwracał się z takim, na przykład, pytaniem: „Jak idea lista Hume mógł napisać historię?” — „Historię przedstawień” — odpowiadał Beckett.”

Peggy Guggenheim wspomina, że swego czasu była w Beckettie „straszliwie zakochana” i opowiada (Confessions of an Art Addict, London, 1960): „...nigdy nie był zbyt ożywiony i trzeba było godzin i wielu kieliszków, aby go rozruszać i wyrwać ze stanu koncentracji”.

W przypadku Becketta anegdota jest z reguły czymś więcej, niż anegdota. Niezwykła jest bowiem identyczność życia i dzieła Becketta. Jako młody uczonec zrygnął z światem zapowiadającej się kariery uniwersyteckiej, by wieść egzystencję, której filozofia miała stać się filozofią jego bohaterów. Już jako pisarz sam wybrał sobie język: z angielskiego przeszedł na francuski. „We francuskim — wyjaśnił — łatwiej jest umknąć rygorom”. Rzeczywiście, francuszczyzna Becketta jest nieprawdopodobnie pojemna, każde niemal zdanie, ze względu na swą wieloznaczność, otwiera widok na mnożące się horyzonty. To, co najważniejsze, dzieje się w samej warstwie języka. Toteż trud tłumaczenia musi być w znacznym stopniu trudem da remnym.

M.O.O.

Wyruszyłem. Zapomniałem, dokąd jechałem. Zatrzymałem się, aby się nad tym zastanowić. Trudno mi jest zastanawiać się, gdy pedałuję. Gdy chcę się zastanowić podczas jazdy, tracę równowagę i padam. Mówię w czasie teraźniejszym, tak łatwo jest mówić w czasie teraźniejszym, gdy idzie o przeszłość. Proszę nie przywiązywać do tego wagi, jest to czas teraźniejszy mitologiczny. Zapadłem już w mój stan rozmieniania, gdy przypomniałem sobie, że przecież nie w tym rzecz. Wróciłem na drogę, na tę drogę, o której jako o drodze nie wiedziałem nic, która była tylko powierzchnią jasną lub ciemną, równą albo wyboistą i, jeśli się dobrze nad tym zastanowić, zawsze miła, ten miły szum rzeczy, która się toczy i która, gdy jest sucha, pozdrawia krótką smugą pyłu. Oto ja, który nie pamiętam, że wyszedłem z miasta, nad brzegami kanału. Kanał przecina miasto, wiem o tym, wiem o tym, są tam nawet dwa kanały. Ale te szpalery, te pola? Nie trapię się Molloy. Nagle widzę, że to moja prawa noga, sztywna w tamtej epoce. Z trudem posuwając się wzdłuż drogi holowników, zobaczyłem na drugim brzegu zmierzające w moją stronę dwa szare osiołki w zaprzęgu, usłyszałem wściekłe okrzyki i głuche uderzenia. Postawiłem stopę na ziemi, by lepiej widzieć szkutek, która zbliża się tak powoli, że na wodzie nie pojawiły się nawet zmarszczki. Był to ładunek drzewa i gwoździ przeznaczony niewątpliwie dla jakiegoś cieśli. Moje spojrzenie napotkało spojrzenie osła, skierowałem wzrok ku jego krokom delikatnym i śmiałym. Sternik oparł łokieć w kolano, głowę wsparł na dłoni. Co trzy, cztery pyknięcia, nie wyjmując fajki z ust, spłukał w wodę. Słońce kładło na horyzoncie barwy siarki i fosforu, właśnie ku nim zdążyłem. Na koniec zszedłem z siodełka, dotarłem, podskakując, do rowu i położyłem się tam obok mego roweru. Trawa w rowie była gęsta i wysoka. Zdjąłem kapelusz i przysięgałem długie, ulistwione łodygi do mej twarzy. Wtedy poczułem ziemię, zapach ziemi był w trawie, która me ręce spletała na mej twarzy, tak, że nie spoza niej nie widziałem. Trochę jej także zjadłem. Przypomniałem sobie, że wyruszyłem rankiem tego dnia, który miał się ku końcowi, by zobaczyć mam matkę. Powody? Nie pamiętałem ich. Ale je znalazłem, myślałem, że je znam, trzeba mi je było tylko

odnaleźć, by przylecieć tutaj, do mojej matki, z konieczności na skrzydłach kury. Tak, skoro wiemy — dlaczego, wszystko staje się łatwe, to już tylko kwestia magii. Cała rzecz w tym, by poznać świętego, byle dupa może z tym sobie poradzić. Nie ma co rozpaczzać z powodu szczegółów, jeśli kogós obchodzi szczegóły, w końcu można zapukać do właściwych drzwi, we właściwy sposób. Nie wydaje się, aby magiczny tekst istniał w odniesieniu do całości. Być może nie istnieje całość, chyba że zagrobowa. Nie trzeba być specjalnie przebiegłym, aby odnaleźć to, co uspokaja w życiu zmarłych. W takim razie na co czekam, aby zaklinać moje życie? To naciąga, to naciąga, słyszę stąd ochran, który zaraz wszystko uspokoi, nawet gdybym to nie ja ochraniał. Tymczasem na nic wiedzieć, że jest się nieboszykiem, nie jest się nim, jeszcze się kluczy, rosną włosy, rosną paznokcie, wszyscy karawaniarze są martwi. Ktoś ściągnął zasłonę, może my sami? Najmniejszego szelustu. Gdzie są muchy, o których tyle się słyszało? Ustupujemy wobec oczywistej prawdy, to nie my jesteśmy martwi, to wszyscy inni. A więc wstawiamy i idziemy do matki, która uważa się za żywą. Takie odnoszę wrażenie. Ale teraz trzeba będzie wynieść mi się z tego rowu. Chętnie zniknąłbym tutaj, zapadając się coraz bardziej i bardziej pod wpływem deszczów. Niewątpliwie pewnego dnia powrócę tutaj albo do podobnego zagłębienia, zapewniłem co do tego moje nogi, tak jak niewątpliwie pewnego dnia odnajdę komisarza i jego pomocników. A jeśli, zbyt zmieniony, by ich rozpoznać, nie określiłbym dokładnie, że są to ci sami, niechże to



Dla Ilony

Rys. E. Inglot

państwa nie zmyli, będą to ci sami, jakkolwiek zmienieni. Ponieważ osadzić jakieś istnienie, jakieś miejsce, — chciałem, powiedzieć godzinę, ale nie chcę nikogo urazić. — i potem już z tego nie korzystać, to byłoby... nie wiem, jak powiedzieć. Nie chcę powiedzieć, nie wiedzieć, co się chce powiedzieć nie móc powiedzieć tego, o czym się myśli, że chce się to powiedzieć i wciąż lub prawie wciąż mówić, oto, czego nie wolno stracić z oczu w gorące redagowania. To nie była zwykła noc, gdyby była, zapewne wiedziałbym o tym. Bo oto, gdy usiłuję myśleć o tej nocy spędzonej nad brzegiem kanału, nie znajduję nic, nie ma nocy w dosłownym znaczeniu, jest tylko Molloy w rowie i doskonała cisza. I jak płomień, gdy napaskudzą święci, tak pod moimi powiekami,

gdy je zamykam — nocka, gdzie świetlne pola zjawiają się, płoną gasną, raz puste, raz zaludnione. Mówię ta noc, lecz może było ich wiele. Zdradzajmy, zdradzajmy, zdradliwa myśl. Ale znów odnajduję poranek, jakiś poranek, oto już późny poranek i drzemka, jaką sobie wówczas uciałem wedle zwyczaju, i rozdźwięczona przestrzeń, i pastuch, który patrzył, jak śpię i pod którego spojrzeniem otwarłem oczy. Obok niego zziębły pies, który także na mnie patrzył, lecz nie tak uparcie jak jego pan, gdyż od czasu do czasu przestawał na mnie patrzeć, aby wściekle wgrzyzać się w kudy, najpewniej w miejscach, gdzie kleszcze ścigały zeń haracz. Czy brał mnie za czarnego barana zaplątanego w ciernie i czy czekał na rozkaz swego pana, aby mnie stamtąd wydesta? Nie sądzę. Nie czuć mnie baranem, a chciałbym, by mnie było czuć baranem czy kozłem. Dostę jasno widzę te rzeczy, które pierwsze nawiną mi się w momencie przebudzenia i rozumie je, gdy nie są zbyt trudne. Potem drobny deszcz, niby z polewaczki, zaczyna padać w mej głowie i przed oczyma. To ważne. Wiedziałem więc od razu, że to pastucha i jego psa mam przed sobą, raczej nad sobą, jako że nie zeszedł z drogi. Bez trudu także rozpoznałem beczenie stada, zaniepokojonego tym, że nie jest już poganiane. Jest to chwila, gdy także i sens słów jest dla mnie najmniej ciemny, toteż powiedziałem ze spokojną pewnością siebie. Dokąd je pan prowadzi, na pole, czy do rzeźni? Tak, jakby kierunek miał tu coś do rzeczy, musiałem zupełnie stracić rozeznanie, co to kierunek. Jeśli bowiem szedł nawet w stronę miasta, to co mu szkodziło obejść je albo wyjść z niego inną drogą, by dotrzeć do świeżych pastwisk, a jeśli od niego się oddalał, to także nie nie znaczyło, ponieważ nie tylko w miastach są rzeźnie, ale są wszędzie, także w wsiach, każdy rzeźnik ma swą rzeźnię i prawo uboju wedle potrzeb. Ale czy nie rozumiał, czy nie chciał odpowiedzieć, nie odpowiedział, ale odszedł, nie mówiąc słowa, chcę powiedzieć nie mówiąc słowa do mnie, ponieważ mówił do swego psa, który go słuchał uważnie, z nastawionymi uszami. Uklęknałem, nie, nie udało mi się, wstałem i patrzyłem jak oddala się mała karawana. Usłyszałem, że pastuch gwizda, i widziałem jak kręcił młynką swym kijem, i widziałem, jak pies uwiłaj się kolo stada, które bez niego wpadłoby niewątpliwie do kanału. To wszystko poprzez iskrzący się pył, a wkrótce także poprzez tę mżawkę, która co dzień oddaje mnie sobie i zastania przede mną resztę i zastania mnie przede mną. Beczenie ucichło, ale czy dlatego, że barany trochę się uspokoiły, czy to na skutek ich oddalania, a może usłyszałem mniej wyraźnie niż przed chwilą, co by mnie dziwiło, albowiem słuch mam zawsze dość dobry, zaledwie nieco przytępiony o brzasku, i jeśli zdarza mi się nic nie słyszeć przez parę godzin, to z powodów, których zupełnie nie znam, ponieważ wszystko wokół mnie staje się niekiedy naprawdę bełkotne, podczas gdy dla sprawiedliwych szelsty świata nie ustają nigdy. Oto jak zaczął się ten drugi dzień, o ile nie był to dzień trzeci albo czwarty, i to był zły początek, gdyż przyprowadził mnie o długotrwałe zakłopotanie w związku z losem tych baranów, wśród których były jagnięta, i często zadawałem sobie pytanie, czy dotarły szczęśliwie do jakiegoś wygonu, czy też zwały się pod obuchem, z chrzęstem chudych nóg, najpierw na kolana, potem na welniste bok, z pogruchotanymi czaszkami. Ale małe zakłopotania mają także swe dobre strony. Mój Boże, co za rolniczy kraj, wszędzie widać czworonogi. I to nie wszystko, są tu jeszcze konie i kozy, by tylko je wymienić, czuję je, czują na mnie, aby się położyć w poprzek mej drogi. Niepotrzebne mi to. Ale nie straciłem z oczu celu mych naglech wysiłków, tego mianowicie, aby możliwie jak najszybciej spotkać się z moją matką, i stojąc w rowie, przywoływałem na pomoc poważne powody, jakie miałem, by iść do niej, nie tracąc ani chwili. I jeśli byłem zdolny uczynić bez namysłu wiele rzeczy, wiedząc, i to ledwie wiedząc, co chciałem uczynić, dopiero wówczas, gdy to już uczyniłem, to wyprawa do matki nie wchodziła tutaj w rachubę. Nigdy, proszę państwa, nogi nie niosły mnie same do matki, bez nakazu z góry w tym względzie. Cudowna, cudowna pogoda, każdy, prócz mnie, wieszowałby jej sobie. Ale ja nie muszę wieszować sobie słońca i unikam tego. Zabiłem Egipcjanina spragnionego upału i światła, sam wcześniej zabił się we mnie. Błede cienie deszczowych dni bardziej odpowiadały moim upodobaniom, nie, źle się wyrażam, moim nastrojom, także nie, nie miałem ani upodobań ani nastrojów, wcześniej je straciłem. Chcę może powiedzieć, że błede cienie itd. lepiej mnie ukrywały, choć nie wydawały mi się z tej racji specjalnie miłe. Mimosowaty, wbrew sobie samemu, oto Molloy, widziany pod pewnym kątem.

Przełożył MIROSLAW OSTOJA OCHOCKI

Przeclaw Smolik meteor dawnej Łodzi



Wyk. K. Hiller

Przeclaw Smolik należy do tych łodzian-meteorów, którzy na przestrzeni dziejów miasta przyjeżdżali tu w poszukiwaniu pracy i pola do działalności, a po kilku latach opuszczali niewdzięczne miasto. Jednak gdy się spojrzy z pewnej perspektywy to okazuje się, że łódzkie lata tych przelotnych ptaków były często bardzo płodne, pozostawiali oni w mieście trwałe ślady swej działalności. Z blisko 70 lat swego życia zaledwie około 10 spędził Smolik w Łodzi, a jednak jeśli wspomina się tę barwną postać, to właśnie w powiązaniu z naszym miastem.

Urodzony w Bochni w 1877 r. ukończył gimnazjum w Krakowie i już w roku 1896 rozpoczął za namową rodziców studia medyczne na Wszechnicy Jagiellońskiej. Aktywny w życiu intelektualnym uczestnik wydarzeń krakowskich współczesnych Zielonemu Balonikowi ima się pióra, pisał wiersze, satyry, artykuły, tłumaczył. Już przed pierwszą wojną na ma na koncie zbiorów wierszy „Po drodze”, tomik satyr „Figle i fraszki imci pana Niby-Reya”, po pułkarną historię inkwizycji „W imię krzyża” (pod pseudonimem Czesława Wrockiego), tłumaczenie Dyla-Sowizdrzała Karola do Coester, Zbliżony do PPS współpracuje z „Naprzodem” i radykalnymi pismami satyrycznymi takimi jak: „Liberum veto”, „Hrabia Wojtek”, „Kropidło” i „Abdera”.

gorzej było ze studiami medycznymi. Wyraźne społeczne i artystyczne zamiłowania Smolika odbijały się zapewne negatywnie na podjętych pod presją studiów, prawdopodobnie też niejedną godzinę spędził na nadobowiazkowych wykładach humanistycznych. Wiemy, że zdobył absoluto-

ojęźnie Dzyngis-Chana”, „Pod Altajem”, „Legends Azji”.

Po powrocie do Krakowa z zasłużoną za granicą żoną, przekonawszy się, że utrzymanie w pióra nie jest rzeczą łatwą, podejmuje pracę nauczyciela. Osobiste zainteresowanie kieruje w tym czasie w kierunku sztuki a zwłaszcza estetyki książki. W roku 1922 był jednym z założycieli słynnego Towarzystwa Młodszych Książki w Krakowie, a następnie jego skarbnikiem. Gromadzi piękne druki, grafiki, publikuje szereg studiów i książek z tej dziedziny, „Druk i książka”, „O książce pięknej” i inne.

Nie przestaje być nosicielem radykalnych poglądów. Wojujący antyklerykał nie był pożądanym członkiem ciała pedagogicznego w tradycyjnym Krakowie. To był za pewne główny powód dla którego w roku 1926 Smolik pojawia się w Łodzi i obejmuje tu posadę polonisty w Miejskim Gimnazjum Społecznym. Od razu też przystępuje do pracy na terenie miasta. W roku 1927 udaje mu się wraz z Janem Augustyniakiem zorganizować Towarzystwo Bibliofilów w Łodzi, które mogło poszczycić się niemałym dorobkiem i szybko stało się jednym z najżywoźniejszych stowarzyszeń tego typu w Polsce. Organizacja ta tworzy wstawy książki, organizuje odczyty, wydaje szereg pięknych publikacji głównie zresztą pióra samego Smolika, próbuje wskrzęsić z marazmu łódzkie intronizatorstwo. Prace edytorskie Towarzystwa przyczyniły się do unowocześnienia drukarni w Łodzi, tu szczególnie zasługi miał nadworny typograf Towarzystwa Bibliofilów Ludomir Mazurkiewicz. Interesuje się też Smolik księgozbiorem Łodzi. Pisze artykuły o „Starych księgach w Bibliotece Publicznej w Łodzi” i „Królewska Księga w Łodzi”.

W roku 1928 zostaje ławnikiem PPS-owskiego Zarządu Miejskiego i przewodniczącym Wydziału Oświaty i Kultury. Na stanowisku tym był bardzo aktywny. Przyczynił się między innymi do pozyskania dla Łodzi zbiorów J.K. Bartoszewiczów. Spowodował też przyjazd do Łodzi Władysława Strzebińskiego z żoną Katarzyną Kobro, a następnie forsał przyznanie temu artyście nagrody m. Łodzi. Współpracował z malarzem i grafikami Karolem Hillerem. Był jednym z tych, którym zawdzięczał

swe powstanie żywoźny ośrodek plastyczny w Łodzi. Nie pozostało to bez wpływu na narodzenie się koncepcji Muzeum Sztuki Współczesnej właśnie w robotniczym mieście.

Podopieczni nie pozostają bez wpływu na niemłodego już literata, wychowanego w atmosferze Młodej Polski, zakochanego w Wyśnińskim, o którego zdobnictwie książkowym wydał bibliofilską pozycję już w Łodzi. Potrafi docenić i zrozumieć nowatorską sztukę młodych, sztukę powstającą właśnie w ostrym konflikcie z tym, co było mu drogą — pisze o Wyspiańskim, Bukowskim, Wywińskim, ale potrafi popierać Strzebińskich, Hillera i Chwistka. Smolik staje się jedną z popu-

ka kustosa w Muzeum Łódzkim. Wyjazd na stałe do Warszawy w roku 1935 wiązał się dodatkowo z faktem, że młody emeryt postanowił poświęcić się pracy literackiej i naukowej i opracować historię ilustracji polskiej co w barożo skromnie zaopatrzonej w książki Łodzi byłoby wówczas praktycznie niemożliwe.

Utrzymywał jednak Smolik nadal kontakt z łodzianami, a głównie z Towarzystwem Bibliofilów, którego prezesurę objął Zygmunt Hajkowski. Mawiał też, że swoje bogate zbiory przekazuje testamtem temu miastu Łodzi gdzie pragnął pozostawić jeszcze jeden ślad swej działalności. Niestety, po powstaniu znalazł swe warszawskie mieszkanie całkowicie zdewastowane, zoldacy użyli jego książek i grafik między innymi na ściółkę dla bydła. Uratowały się z całego zbioru tylko te pozycje które niemłody już kolekcjoner wyniósł w ręcznym bagażu z płonącego miasta.

Po wojnie Smolik znów znalazł się w Łodzi. Jako literat uzyskał mieszkanie, rozpoczął pracę twórczą i społeczną. Wznowił też gromadzenie książek.

Dzieło jego życia, monumentalna historia ilustracji w Polsce, zo stała dokończona i przekazana przez wydawnictwo do produkcji. Niestety, czyjaś pochopna decyzja wstrzymała już zaawansowane prace, a setki gotowych klisz skazano na przetopienie. Ale tego momentu Przeclaw Smolik już nie dożył. Zmarł bowiem nagłe w Łodzi 5 lutego 1947 roku. Jeden z kilku egzemplarzy rękopisu historii ilustracji wraz z próbnymi odbitkami zniszczonych klisz jest przechowywany w dziale rękopisów Biblioteki Uniwersyteckiej w Łodzi.

Niezmienny radykał z przekonań, który jednak jakoby dopiero w Łodzi zgłosił swój formalny akces do PPS, podróżnik z przypadkiem, kolekcjoner i znawca sztuki z zamiłowania, lekarz z wykształcenia, a nauczyciel-polonista z wykonywanego zawodu — poeta, tłumacz, historyk, działacz społeczny i kolekcjoner-esteta w jednej osobie był Przeclaw Smolik postacią niezwykłą, barwną, choć pełną sprzeczności.

Wart jest pamięci w Łodzi gdzie spędził swe najaktywniejsze lata. A może kłósać z bibliotek lub inna instytucja kulturalna pomyślałaby o przyjęciu jego imienia?



larnych postaci miasta. Ale szybko też nastąpił wypadek, które skłoniło go do wyjazdu z Łodzi. W roku 1933 zostaje rozwiązany przez władze socjalistyczny zarząd m. Łodzi. Smolik traci posadę i zgodnie z ówczesnymi przepisami otrzymuje emeryturę jako człowiek w pełni sił zaledwie pięćdziesięcioletni. Przeżył w tym okresie trudne chwile w związku z pomyłką jakiej dokonał kupując z kasy miejskiej dla muzeum obraz, który okazał się falsyfikatem. Prasa niechętna Radzie i Smolikowi wykorzystwała ten wypadek do frontalnego ataku. Smolik przy wszystkich swoich zaletach był człowiekiem autorytatywnym i niełatwo przyszło mu przystać się do błędu. Zostały też przekreślone jego nadzieje na objęcie stanowis-

Przeszłość i teraźniejszość

Nie po raz pierwszy polemizuję na tym miejscu ze „Współczesnością”. Nie tak dawno obudziły mój sprzeciw pewne poglądy wypowiedziane na jej łamach przez A. Menciuela. Teraz do podjęcia dyskusji skłania obszerny szkic J. Szackiego pt. „Tradycja i utopia w myśli europejskiej”, opublikowana w dwóch kolejnych numerach pisma (Nr 2—3, 1970). Nie miejmy złudzeń — gdyby artykuł ten ukazał się bez komentarza redakcyjnego, moglibyśmy jeszcze mniej mieć, że chodzi w nim o rozważenie li tylko naukowego problemu z dziejów nowożytnej europejskiej myśli społecznej. Tych kilka słów od redakcji, jakie poprzedzają tekst Szackiego nie pozostawia jednak wątpliwości, że idzie w nim nie tylko o problem natury naukowej — historycznej, lecz o zagadnienie o charakterze par excellence politycznym. Bo jak inaczej odczytać te zdania: „O toż jest rzeczą do dyskusji, czy nazbyt gorliwie przywoływanie historii w sukurs systemowi wychowania, nadmierne powoływanie się na tradycję i jej związki ze współczesnością — nie grozi aby konstytuowaniem zjawiska psychologicznego, które by można określić jako „orientacja wstecz” mentalności narodu, które mogłyby kształtować masowo postawy tradycyjno-konserwatywne — i to nawet wtedy, gdy bezwzględnie przestrzegać będziemy priorytetu dla tradycji postępowych? Pytanie nie jest akademickie. Ostatnie

lata pokazały, iż w ideologicznych dysputach o drogach rozwoju społeczeństwa socjalistycznego epatowanie tradycjami historycznymi miało określoną wymowę polityczną; czy była ona zgodna z generalną perspektywą rozwoju tego społeczeństwa, z kategorią imperatywną wdrażania narodu do zadań, wiodących ku przyszłości?”

Epatowanie przyszłością

Czytelnik szkicu. J. Szackiego otrzymuje na to pytanie odpowiedź w zasadzie jednoznaczna. Autor przedstawił na przykładach z dziejów europejskiej myśli filozoficznej i społecznej ściera nie się dwóch postaw wobec przeszłości — retrospektywnej i prospektywnej. Pierwsza z nich — „tradycjonalistyczna” — jest charakterystyczna dla najrozmaitszych kierunków zachowawczych, druga — zrywająca z przeszłością, jest właściwa różnym odmianom nowoczesnego racjonalizmu. Oczywiście, nie zawsze w dziejach postawy te wystąpią w postaci czyste, tym niemniej funkcjonuje w nich opozycja pomiędzy tradycją a postępem, który jest niczym innym jak wyzwaniem się

od tradycji. „Epoka współczesna — powiada Szacki — jest wszakże epoką wielkiego przelomu dziejowego, toteż jawi się ona jako czas przezwycięzania dawnych „interesów” i stosunków zrewolucjonizowanych już (...) przez rozwój kapitalizmu. Proces historyczny w jego marksistowskim ujęciu daje się tedy rozpatrywać jako proces przezwycięzania tradycji a ta ostatnia — jako siła inercji stawiająca opór postępowi”. Wszelkie ewokacje tradycji — dodajmy od siebie — miałyby tedy jednoznacznie wsteczny charakter.

Taka byłaby diagnoza i naszego „epatowania” (by posłużyć się terminem własnym „Współczesności”) tradycją w owych dysputach ideologicznych, jakie toczyły się i toczą od paru już lat. Nie myślę sięgać do autorzytetów najwyższych, których słowami ełsiła wypowiedział własne treści. Miast tego przypomnę doświadczenia rieżców-wnych jeszcze lat, kiedy w imię budo- wy nowego i słusznej walki ze wszystkim, co jej stoi na drodze, podjęto bezpardonową walkę z obcymi tradycjami, ale i z tymi które, zdaniem niektórych, winny były być obce. Bo — proszę pana — nie tylko tradycje bywają różne; rozmaite bywają także i postawy prospektywne. W imię jednej z nich — trud-

no temu zaprzeczyc — przy- stąpiono właśnie do „przezwycięzania” tradycji które komuś, konkretnemu wydały się wrogie. „Oczyszczano” dzieje polskiej myśli socjalistycznej z różnych takich Limanowskich, Kelles-Krauzów, Brzozowskich i tylu jeszcze innych. „Oczyszczano” dzieje polskiego ruchu komunistycznego, garnirując szczydnie jego bogatą przeszłość i teraźniejszość wianuszkami nielekkih odchyłań; „oczyszczano” dzieje kultury i literatury polskiej, powołując do życia sztam-powe produkcyjniaki. I sam pan doskonale wie — że owa walka z tym „starym” nie tylko owego „starego” nie zlamala, ale diablo przeszkadzała rozwojowi nowego, w imię którego ją prowadzono. Bowiem tak samo jak ewokowanie tradycji może mieć różne społeczne znaczenia, tak samo rozmaite może być sens programowego prospektywnego „antytradycjonalizmu”. Przywoływanie tradycji nie zawsze bywa równoznaczne z tradycjonalizmem, podobnie jak i postawa programowo zapatrzona w przyszłość nie zawsze wycięza właściwą drogę dla jutra, i jeszcze jedno. Nie tylko „epatowanie tradycjami historycznymi” — proszę panów ze „Współczesności” — „miało określoną wymowę polityczną”. Ma ją też i epatowanie zerwaniem z wszelką tradycją, epatowanie przyszłością, zwłaszcza wtedy kiedy chce się zdyktować ów kategorię ryczny imperatyw „wdróżania narodu do zadań, wiodących ku przyszłości”, imperatyw, który stanowi istotną treść szerokiej społecznej dyskusji w dążeniu do tego, byś my myśli i działali lepiej.

JÓZEF GRZELAK



OPOWIADANIA PLATONOWA

Na to kardynalne dla literatury rosyjskiej pytanie — „jak żyć?” — całą swą twórczością dawał odpowiedź Andrzej Platonow. Pisarstwo jego i poglądy usytuować można między ekstremizmem „paź dziernikowców” domagających się wyłącznego istnienia literatury proletariackiej, a autonomizmem „serapionowców”, deklarujących niezależność literatury i sztuki od społeczno-politycznej koniunktury, apolityczność i przyjęcie jedynie artystycznych kryteriów w ocenie dzieła literackiego.

Twórczość Platonowa uznana za szkodliwą i kontrewolucyjną, na skutek decyzji administracyjnych pozostawiała do lat sześćdziesiątych szerzej niż znana czytelnikowi radzieckiemu. W Polsce, obowiązek upowszechnienia dorobku tego znakomitego prozaka, wziął na swe barki „Czytelnik” wydając niedawno trzeci z kolei tom opowiadań Platonowa pt. „Dżan”. Opowiadanie tytułowe, chyba najdojrzalsze i najbardziej znaczące w jego twórczości opublikowane zostało po raz pierwszy w 1964 roku. Ten egzotyczny tytuł oznacza w języku turkmeńskim duszę oraz miłe i dobre ży-

cie. Dżan u Platonowa to również nazwa małego na rodu, wegetującego w delcie Amu-Darii, prześladowanego przez kolejnych najeźdźców, choroby i nędzę. Na pomoc resztkom tego plemienia, udaje się Nazar Czaganatjew — syn kobiety Dżan i żołnierza rosyjskiego. Jednak nawet ten współczesny Prometeusz, poświęcający się bez reszty swym współplemienciom, nie jest w stanie przynieść im szczęścia, bowiem serce na rodu Dżan „wysuszyła nędza, umysł jego zjałowiał”, pragnie już tylko zapomnienia poznawionego świadomości istnienia, zainteresowań i wyobraźni. I kiedy wydaje się, że Nazar wyzwolił z udręczonego ludu szczęście, spowodował że stawać się ono zaczyna czynną siłą życiową — naród Dżan opuszcza swego przywódcę.

Najważniejszy motyw pisarstwa Platonowa to opisanie sytuacji jednostki w społeczeństwie, generalne problemy moralne i etyczne. Bohaterowie większości jego opowiadań uważają, że dążenie do własnego, małego szczęścia jest niecie i nietrwałe. Tylko poprzez spełnienie swego obowiązku wobec narodu, w związku z nim można osiągnąć pełnię szczęścia. Pojedynczy, wyobcowany człowiek nie jest w stanie pojąć celu istnienia świata, niezbędności swej egzystencji.

Na osobną wzmiankę zasługują opowiadania wo jenne, pełne refleksji i filozoficznej zadumy.

ANDRZEJ HAMPEL

Andrzej Platonow — Dżan i inne opowiadania, Czytelnik — 1969.

Mistrzostwa w Sztokholmie

Co pewien czas oczy całego sportowego świata skierowane są na tę czy inną miejscowość, w której odbywa się impreza, będąca tzw. wydarzeniem sportowym.

Takim wydarzeniem sportowym z pewnością są hokejowe mistrzostwa świata w Sztokholmie. Hokej jest coraz bardziej popularną na świecie dyscypliną i śmiało można powiedzieć, że obok piłki nożnej i boksu wzbudza największe zainteresowanie wśród ogromnej rzeszy kibiców.

Dziwne to, ale Sztokholm ma szczęście do największych sensacji hokejowych. W mieście tym już po raz piąty odbyły się mistrzostwa świata.

Pierwsze mistrzostwa w Sztokholmie rozegrane zostały 21 lat temu. Wtedy to, po raz pierwszy w historii tej imprezy, sensacyjnej porażki doznała królująca od niepamiętnych czasów w tej dyscyplinie sportu Kanada, przegrywając z CSRS. Również wtedy padł rekord bramek zdobytych na mistrzostwach świata w ciągu jednego meczu — Kanada pokonała Danię 47:0!

Kolejne mistrzostwa w Sztokholmie rozegrano w 1954 r. Był to rok sensacyjnego debiutu na tej imprezie hokeistów radzieckich, którzy od razu sięgnęli po tytuł mistrzowski odnosząc zwycięstwo w finale nad Kanadą 7:2.

Ciekawy przebieg miały mistrzostwa w 1963 roku. Znowu w finale spotkały się zespoły ZSRR i Kanady. Aby zdobyć tytuł mistrzowski hokeiści radzieccy musieli wygrać ten mecz różnicą dwóch bramek. Tak też się stało. Po dramatycznym przebiegu spotkanie wygrała ZSRR 4:2.

Przypomnijmy, teraz rok ubiegły, gdzie w Sztokholmie sensacja gonila sensację. Rezultatem tego były po dwie porażki radzieccy mistrzowie z czołowe drużyny w tabeli. O pierwszym miejscu zaważyła Radzieckiego zdecydowała najlepsza różnica bramek. Hokeiści radzieccy tytuł mistrza świata zdobyli już dziewięć razy (w 1954, 1956 i od 1963 — rokrocznie aż do 1969).

Rzec można, że tegoroczne mistrzostwa w Sztokholmie jeszcze przed ich rozpoczęciem otrzymały sensacyjną oprawę. Wszystko zaczęło się w ubie-

głym roku, kiedy kongres LIHG (Międzynarodowej Federacji Hokeja na Lodzie) większością jednego głosu zezwolił na start w mistrzostwach świata hokeistów zawodowych, po dziewięciu w drużynie. Był to ułkon w stronę Kanadyjczyków, gdyż właśnie w Montrealu miały w tym roku odbyć się hokejowe mistrzostwa świata. Wszyscy rozjechali się zadowoleni, Kanadyjczycy powołali do organizacji imprezy specjalne towarzystwo „Hockey — Canada”, dysponujące odpowiednią ilością pieniędzy i doborową stawką menagerów. Machina biznesu zaczęła działać. Tymczasem jak grom z jasnego nieba spadła wypowiedź prezesa MKOI, Aveya Brundage, oznajmująca, że zespoły grające z drużynami, w których startować będą zawodowcy, nie otrzymają zaproszeń na olimpiadę do Sapporo. W tej sytuacji w Genewie odbyło się zebranie Dyrektoriatu LIHG, gdzie podjęto decyzję o niedopuszczeniu zawodowców do mistrzostw. Kanadyjczycy się obrażili, wyszli z sali obrad, oświadczając, że mistrzostwo zorganizować nie będą i przez rok nie chcą mieć nic wspólnego z hokeistami europejskimi. W ślad za nimi wycofali się również hokeiści USA. Skorzystała na tym... Polska, która w tej sytuacji, można by rzec administracyjnie, weszła do grona sześciu najlepszych drużyn świata.

Przyznam szczerze, że chociaż nieobecność Kanadyjczyków z pewnością odbiła się niekorzystnie na sportowej stronie mistrzostw, to z faktu wycofania zawodowych hokeistów można jedynie cieszyć. Rzecz w tym, że mecze hokeistów zawodowych bardzo często przeradzają się w walki wolnoamerykańskie z przewagą boksu, co kończy się z reguły rozlewem krwi.

Polska, jak orzeczone, pojechała do Sztokholmu na naukę. Uczy się od naszych uczniów, gdyż kilkanaście lat temu hokeiści radzieccy właśnie w Polsce poznawali tajniki tej dyscypliny sportu. Cóż, podobno na naukę nigdy nie za późno. Przy okazji podaje, że w Sztokholmie uczył nas drużyną ZSRR, CSRS, Szwecji, Finlandii i NRD.

MIECZYSLAW STOLARSKI



ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

W rytmie natury

Odrębność poezji Anny Pogonowskiej na tle wspólczesnej polskiej twórczości poetyckiej jest bardzo wyraźna. Wiersze jej nie zyskały powszechnego aplauzu krytyków, gdyż ze względu na swój specyficzny ton i charakter powodują dość kontrowersyjne opinie. Poza tym proces przeobrażenia poezji następuje bardzo statycznie, powoli, upór w realizowaniu pierwotnych założeń, wierność wobec kilkanaście lat temu narzuconej sobie konwencji bierze górę nad spontanicznością, emocjonalnym zaangażowaniem się w bieżące sprawy. Daje się jednak zauważyć dążenie poetki do obiektywizacji uczuć, do prostoty, bardziej precyzyjnego wyrażania i umiarkowanego metaforyzowania sytuacji, czego najlepszym przykładem może być wydany ostatnio tom liryków pt. „Ceremonia”^{*)}.

U podstaw poezji Pogonowskiej tkwi fascynacja elementarnymi żywiołami natury, z którymi człowiek musi nieustannie się zmagać. Nie w tym jednak kryje się tragizm czy optymizm ludzkiego losu, nie o to w ogóle w tej poezji

chodzi. Istota liryki Pogonowskiej sprowadza się do dokonywania wyboru z wiecznie eksploatującej materialnie i psychicznie rzeczywistości tego, co przemijające, a co trwałe. Nie sposób jednak przypisać poetce dualistycznego ujmowania zjawisk zachodzących w świecie. Liryczny tok wiersza Pogonowskiej to proces, w którym następuje ciągłe przetwarzanie; poetka pragnie utrwalić to, co efemeryczne, nadać mu konstancyjny sens („Usta popiołu”), natomiast to, co powszechnie uchodzi za trwałe, jest jedynie pozornie trwałą wartością („Scena”). Ma to oczywiście głębszy sens — nie wynika to wcale ze zwykłej próżności, a świadczy jedynie o ujmowaniu wartości moralnych w kategoriach relatywnych. Paradoks jest tu niezbędnym elementem określającym tę poetykę. Kreacja i nieraz demurgia splatają się w zupełnie naturalny sposób z destrukcją i absurdem. Wszystko to odbywa się w tak oczywisty, wyzbyty wszelkiej sztuczności sposób, że trudno jest podważać wartość tej poezji, ale...

Poezję Pogonowskiej (z wyjątkiem poematu „Młodość okupacyjna” 1961, który swym narracyjnym tonem odbiega zupełnie od reszty utworów tejże autorki) można określić mianem poezji rytmu fizjologicznego. Ratio i sensus człowieka zespala się z nieswymi domowymi siłami przyrody, tak że następuje idealna zgodność rytmów; zwierciadlana wizja świata — rytm przemijania i tworzenia, stawania się w przyrodzie jest rytmem jej psychiki. W tym kręgu obracają się wszelkie doznania i wrażenia poetki. Niewątpliwie uzyskanie owej bardzo jednolitej, monolitycznej wizji świata odbyło się kosztem wyrzeczenia się wielu środków artystycznego wyrazu, zwłaszcza języka dyskursywnego na rzecz lirycznej narracji. Uproszczenie wypowiedzi poetyckiej wskazuje zatem na pewne, niestety partykularne możliwości tej poezji. I tym bardziej wydawać może się to niebezpieczne, jeśli weźmie się pod uwagę fakt, że poetka jest konsekwentna wobec tych założeń od przeszło dwudziestu lat, począwszy od tomiku „Wzły” (1948).

Co określa odrębność tej poezji? Hermetyczność wierszy Pogonowskiej posunięta jest do najbardziej możliwych granic, zjawiskowa faktura języka oraz duże nagromadzenie rzeczowników (i rzeczy) świadczą o reistycznym charakterze tej poezji. W kosmicznej wyobraźni zderzają się odległe pojęcia, następuje duże nagromadzenie obrazów, rzeczownik określa rzeczownik (co jest sprzeczne z duchem języka ojczystego; język nasz jest językiem obrazowym, a nie pojęciowym) — wszystko to przyczynia się do

zmniejszenia stopnia komunikatywności tych utworów. Zwioly natury są wiersze, każdej rzeczy przypisuje poetka napięcie emocjonalne, lecz podczas lektury tej poezji odnosi się wrażenie, że nie ma głębszych powiązań między poszczególnymi członami wierszy. Skoncentrowanie uwagi na konstruowaniu zmetaforyzowanych równoważników zdania nie pozwala poetce na prowadzenie narracji logicznej. Żywioł natury jest jakby żywcem przeszczepiony na teren wiersza. Z drugiej strony poetce nie za dobrze wypada rozluźnienie frazy jak np. w „Opisie snu”. Oprócz tego może budzić w czytelniku poważne zastrzeżenia strona graficzna zapisu tych liryków, która niczym się nie różni od tomików po przednich. Nagłe zjawianie się wielkich liter w środku werstu (poetka na ogół nie stosuje interpunkcji) przyczynia się do wzmocnienia trudności w odbiorze, choć bywa to zgodne z zazwyczaj z treścią wiersza.

Poezja Pogonowskiej podejmuje bardzo ambitne cele. Jej antropocentryczna wizja przeniknięta jest humanizmem spod znaku Teilharda de Chardina. W przyrodzie, jak również i w społeczeństwie ludzkim, następuje proces jednoczenia, zespala się siły fizyczne i psychiczne. Z niejednokrotnie tragicznych zmagani przeciwstawnych sobie sił, z podłoża humanistycznych niepokojów i zwątpień wyraża optymistyczna teoria tworzenia się wspólnej osobowości. Dramat jednostki ludzkiej usytuowany jest w tej poezji zarówno w świecie ziemskim, jak i kosmicznym. Pogonowska podejmując zasadnicze problemy ontologiczne wychodzi często z materialistycznych założeni, by potem dojść do idealistycznych stwierdzeń, sprzecznych z tym wszystkim do paradyksu. Niewątpliwie wpływ ma myśl Pascala. Uniwersalizm czy tylko poetycka zabawa paradoksów? Chyba jedno i drugie. Ow romantyczny zamiar „mieżenia się z „całością” prowadzi częstokroć poetkę do sprzeczności, przeczenia samej sobie, czego dobitnym wyrazem jest dychotomia treści i formy. Ma to zna miona bardzo ludzkiego wysiłku z jednej strony, z drugiej natomiast oznacza brak wykorzystania pełnych możliwości warsztatowych przy niezwykle cennych założeniach poznawczych tej poezji.

*) Anna Pogonowska, „Ceremonia”, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1969, s. 121.

STANISŁAW LEWICKI

Dawne dzieje Łodzi

Rok 1332 nie zapisał się w historii Polski wydarzeniami szczególnie pamiętnymi. Krzyżacy, po klęsce zadanej im pod Płowcami, wydawali się wówczas mniej groźni. Kraj nasz powoli wychodził już z długotrwałego kryzysu, określonego mianem rozbiła dzielnicowego. Teraz — pod berłem króla Władysława Łokietka — Małopolska, Wielkopolska i Kujawy przeżywały okres raczej optymistyczny. Reszta ziem polskich nie doczekała się jeszcze zjednoczenia. Panowanie Władysława Łokietka dobiegało zresztą kresu. Korzystne zjawiska w gospodarce i kulturze miały się wszakże spotęgować pod rządami jego następcy, Kazimierza Wielkiego.

Dlaczego zatem wyróżniliśmy tutaj rok 1332? Dla nas powód jest ważny. Wtedy bowiem Władysław, książę na Łęczyca i Dobrzyń, wydał przywilej, uwalniający wieś Łódź od ciężarów prawa książęcego. Niewielka ta osada wchodziła w skład dużych dóbr wólborskich; stały się one niegdyś własnością biskupów kujawskich. Oni to zabiegali teraz o wydanie tego przywileju. I tak zrodził się dokument, w którym po raz pierwszy w dziejach znalazła się wzmianka o Łodzi. Niektórzy historycy twierdzą, że średniowieczny skryba nazwę tę napisał całkiem błędnie: Łodza. Ale oni także nie mają wąt-

pliwości, iż chodziło wówczas o poprzedniczkę Łodzi dzisiejszej.

Ponad pięćdziesiąt lat później rozpoczęło się tam osadnictwo na zasadach prawa średniego. Polskie Odrodzenie przynosiło Łodzi awans znacząco wyższy. Od początku XV stulecia występują na tym obszarze wyraźne cechy kolonizacji miejskiej. Z woli króla Władysława Jagiełły Łódź otrzymała w 1423 roku przywilej erekcyjny — staje się miastem. O jej dalszym rozwoju mają decydować reguły prawa magdeburskiego.

Tymczasem jednak miasto zewsząd otaczają rozległe bory. Mieszkańcy Łodzi nadal żyją

przeważnie z uprawy roli. Spis przeprowadzony w 1534 roku wykazuje tu niewiele ponad sto domów, osiemdziesiąt domów mieszkalnych i innych budowli, sześć karczem, Łęczyce, Toruń — do Gdańska. To korzystne położenie sprawiło, iż na początku XVII stulecia ludność Łodzi wzrosła do tysiąca mieszkańców. Miasteczko zaczęło stopniowo nabierać charakteru rolniczego — rzemieślniczego; ożywił się także handel. Warto więc było urządzić tutaj stałe jarmarki. Odbywanie targów i jarmarków wymagało zresztą osobnego przywileju królewskiego. Łódź nadal go już król Jan Olbracht w roku 1496. Łódź została również siedzibą parafii. Jej kolejnemu plebanowi, księdzu Jędrzejowi Majerowi, zawdzięczamy dość dokładny spis okolic miasta. Sporządził go ks. Majer w 1783 roku, w związku z rozpoczętą przez króla Stanisława Augusta akcją zbierania danych topograficznych. Król chciał, by na tej podstawie powstały mapy całego państwa. Los wszakże zrzucił inaczej...

Ten pomysł króla przyniósł

nam pierwsze opisanie Łodzi. Pracę swą przekazał najpierw ks. Majer władzom kościelnym. Nie wiemy nawet, czy później dotarła ona do rąk kartografów królewskich. Tytuł nosiła osobliwy: „Taryfa parochialnej i miasteczka Łodzi”. Poznajmy choć fragment tego opisu: „...Okolo parochialnej i miasteczka Łodzi wielkie i znaczne bory na wschód słońca, południe i północ, różnego rodzaju drzewem są zaroste. Jako to znamienie sosny, dęby, grabina i świerczyna, a miejscami w zaroślach i buczyna się znajduje... Nie ma na okół ciąglego pola, najdalej na staj sześcioro...”

O samym mieście proboszcz napisał bardziej zwięźle. Sądzić można jednak, iż ks. Majer zadowolony był ze swej parafii i chlubił się okazałym kościołem modrzeziowym, wzniesionym w latach 1765 — 1768. Podjęcie tej budowy świadczą może o względnej zamożności mieszkańców Łodzi. Pewnie dobrobyt zapewniało im tylko chatupnictwo. Łódzianie coraz częściej rezygnowali bo wierz z uprawy roli. Trakt handlowy również nie przynosił już dawnych dochodów. Łączono się to z ogólnym upadkiem miast polskich w pierwszej połowie XVIII wieku. Wymiana handlowa kurczyła się ciągle — ludne niegdyś szlaki kupieckie pustoszały. W tym

czasie ludność Łodzi spadła do dwustu mieszkańców. Ci zaś swoją egzystencję zawdzięczali przeważnie rękodzielnictwu.

Aż do roku 1798 Łódź stanowiła domenę biskupów kujawskich. Z nikim na ogół zrozumieniem odnosili się oni do potrzeb miasta. Toteż mieszkańcy Łodzi z zadowoleniem powitali rozporządzenie króla Prus, mówiące o przejęciu miasta na własność rządu. Jako miasto rządowe stała się Łódź przejściowo terenem niemieckiej kolonizacji. Prawie wyłącznie napływali tam rękodzielnicy. W 1806 roku Łódź liczyła około 770 mieszkańców. W dobie Księstwa Warszawskiego manufaktury łódzkie pracują jedynie dla wojska. Stąd też zawarcie pokoju w Europie oznacza dla miasta nowy kryzys. Tak niefortunnie wpływają pierwsze lata istnienia Królestwa Kongresowego. Dopiero rok 1820 oznacza dla Łodzi zmiany niezwykle szczęśliwe. Wydarzenia te wiążą się z osobą ówczesnego prezesa Komisji Administracyjnej. Województwa Mazowieckiego, Rajmunda Rembelskiego. Wojewoda był postacią barwną, wręcz niezwykłą.

Urodził się Rembelski w roku 1775. Był wychowankiem sławnego Korpusu Kadetów. Uczył się dobrze — egzamin z patriotyzmu zdał na polach bitew podczas Powstania Kościuszkowskiego. Po trzecim roz-

biórce Polski były kadet osiadł na Lubelszczyźnie; prowadził tam manufakturę sukieniczą. Jednocześnie brał udział w życiu intelektualnym.

W Warszawie wystawił — w roku 1804 — swój utwór dramatyczny pt. „Hrabia Salisbury”. Pisał też artykuły na tematy gospodarcze i prawne. Znal Rembelskiego światli czytelnicy „Pamiętnika Warszawskiego”. Stopniowo ugruntowała się o nim opinia, iż jest znakomitym znawcą problemów administracji państwowej. Toteż rząd Księstwa Warszawskiego rychło powierzył mu stanowisko prefekta (starosty) — najpierw w Łomży, a potem w Płocku. W okresie kampanii galicyjskiej 1809 roku Rajmunda Rembelskiego był głównym inżynierem armii księcia Józefa Poniatowskiego. Z funkcji tej wywiązał się świetnie. Generalom imponował energią, znajomością rzeczy, sprężystością. Wojsko księcia Józefa dzięki Rembelskiemu nie głodowało. Ale nieraz narażał się on galicyjskim posiadaczom folwarków i młynów. Potrzeby armii były dla niego sprawą zasadniczą. Bez wahania kazał rekwirować zboże, bydło, mąkę. Nie podobało się to tamtejszej szlachcie.

Po zwycięskiej kampanii Rembelski znów rządził prefekturem płocką. Tam właśnie wszedł w konflikt, który miał

Laurem wieńczyć skronie

Nie wiem czy ktoś w naszym kraju, łącznie z kompetentnymi pracownikami Ministerstwa Kultury i Sztuki, potrafiłby wylizywać z pamięci wszystkie nagrody literackie, jakie w Polsce Ludowej przyznaje się pisarzom za ich wkład w rozwój narodowej kultury. Ta rozpowszechniona dziś może ponad miarę forma mecenatu społecznego nad piśmiennictwem odpowiada zresztą naszej tradycji. Wystarczy przede wszystkim przypomnieć, że przed laty, kiedy praca literacka nie towarzyszyła instytucjonalnie uznaniu, społeczeństwo samorzutnie wyrażało swój hołd twórcom, którzy poruszali umysł i krzepili serca. Z dobrowolnych składek zakupiono dworek w Oblegorku i podarowano Sienkiewiczowi. W podobny sposób Konopnicką obdarowano Żarnowcem.

Nie zamierzam się tej pięknej i żywej tradycji przeciwstawiać. Praca pisarza jest na tyle samotnicza, że nie będą jej w stanie wynagrodzić nawet najbardziej rozpowszechnione formy uznania społecznego: nagrody i stypendia. Z drugiej jednak strony holdy i odznaczenia nie zastąpią autentycznego ruchu artystycznego. Warto by się więc uważnie przyjrzeć, co kryje się za tą czolobitnością społeczną dla ludzi pióra? Co jest w niej zwykłą sprawozdawczością, odfajkowaniem, co zaś rzeczywistym mecenatem, z którego w równym stopniu korzysta laureat jak i czytelnik jego utworów.

Powiedzmy sobie od razu, że w tej powodzi nagród, tylko nieliczne zdobyły sobie rzeczywistą rangę. Bo też tylko niektóre z nich nie obniżyły paritetu swojej wartości. Myślę tu przede wszystkim o zreferowanych w roku 1964 Państwowych Nagrodach Literackich. Można także wpisać na tę listę nagrody Ministra Kultury za osiągnięcia w dziedzinie literatury oraz nagrodę polskiego PEN-Clubu za osiągnięcia w dziedzinie twórczości przekładowej. Mają także swoją wagę nagrody niektórych czasopism. Zwłaszcza wtedy, gdy dekoracji towarzyszy jednoznacznie popularyzacja twórczości laureata, gdyż większość redakcji uważa to za ciężar przekraczający ich siły. Obserwujemy również zjawisko

odwracania się od literatury artystycznej na rzecz naukowej, czego potwierdzeniem może być przyznana ostatnio nagroda tygodnika „Kultura”. Kontynuując to wylizanie wypada nam zauważyć, że niewątpliwie nagrody ruchome przyznawane z okazji konkursów. Oceniając ich wagę trzeba jednak zachować szczególną ostrożność. Względność kryteriów a tym samym i ocen sprawia, że ta forma wyróżnień w poważnym stopniu przyczyniła się do dewaluacji nagród literackich w ogóle. Mamy przecież zawodowych konkursowiczów, obsyłających wszystko i wszędzie, czasem właśnie z powodzeniem nie stojącym w żadnym proporcjach z rzeczywistością, wartością artystyczną i ideową wypoconych na siłę płodów. Bawiem dziś właściwie każdy, kto posiada środki finansowe, czuje się upoważniony do premiowania twórczości literackiej. Tytuł mecenasa sztuk mile lechce uszy działaczy społecznych i młodzieżowych, a z powodu paru tysięcy złotych Rzeczpospolita przecież nie upadnie.

A jednak nie odważyłbym się powiedzieć, że mamy w Polsce nagród literackich za dużo. Jest znacznie gorzej, mamy ich bowiem o wiele za dużo, a jednocześnie o wiele za mało.

Ta „dialektyka” może się komuś wydać niesłychanie przewrotna. Postaram się jednak udowodnić, że w pełni odpowiada rzeczywistej sytuacji.

Jest tych nagród za dużo, gdyż ich obfitość prowadzi do dezorientacji zawierając granice ważności instytucjonalnego uznania. Prowadzi to w konsekwencji do postępującej inflacji sukcesu artystycznego w wymiarach społecznych. Przejście on w tych warunkach cokolwiek znaczące.

Jest tych nagród za mało, gdyż umykają nam z pola widzenia wartości ideowe i artystyczne rzeczywiste istoty. Tą zaszczytną formą mecenatu nie obejmujemy bowiem całokształtu zjawisk literackich w nowej Polsce. Uznania i sukces dotyczą zasadzie tylko literatów stołecznych. Bierze się to stąd, że właściwie tylko Warszawa dysponuje prasą o zasięgu ogólnokrajowym i tym samym, niemal bez konkurencji (można jej przeciwstawić jedynie krakowskie „Życie Literackie”) kształtuje opinię o randze zjawisk artystycznych. W Warszawie też najczęściej mieszkają wpływowi krytycy, którzy utrwalają tę opinię swoim autorytetem.

Ta centralizacja urabiania opinii publicznej przy znanym powszechnie niedowładzie, a niekiedy nawet niekompetencji naszej krytyki literackiej, przynosi ogromne szkody literaturze współczesnej. Z dyskusji i polemik prasowych, jakie się toczyły w przeciągu ostatnich kilkunastu miesięcy, wiemy doskonale, że nie zawsze powodzenie jakiejsi książki uznanej przez krytykę za wydarzenie, związane było z rzeczywistą wartością propozycji ideowych i artystycznych. Często wchodziły w grę względy wyraźnie pozaliterackie.

Oczywiście nie możemy wymagać od krytyki nieomyślności. Mamy jed-

nak prawo żądać, aby w swoich kalkulacjach uwzględniała całościowo i pełny obraz literatury polskiej.

Nie wątpię jednak, że żądanie to pozostanie nigdy nie spełnionym postulatem. Nie tylko dlatego zresztą, że zgodnie z zasadą „bliźsza ciału koszula” krytyk stołeczny najchętniej będzie recenzował książki wydawnictw warszawskich. Nie byłoby w tym nic niebezpiecznego, gdyby równocześnie z mniejszą ochotą, ale rzetelnie, omawiane były publikacje innych wydawnictw. Nasze życie literackie rozwija się jednak tak bujnie, że przy najlepszych nawet chęciach, scentralizowana krytyka nie jest w stanie ogarnąć jego całości. Jej widzenie będzie zawsze wyrwkowe i przypadkowe, a tym samym powierzchowne i niesprawiedliwe. Będzie jednak, przy całej niedosko nalości tego widzenia, dostatecznie autorytatywne, aby kształtować roz dęte niekiedy ponad miarę sukcesy jednych pisarzy, przy całkowitym przemilczeniu drugich.

Dlatego też uważam, że nagród literackich w Polsce, przy całej ich dzisiejszej obfitości, jest o wiele za mało. Jest ich za mało o zlikwidowane jak najnieuluzniej w roku 1962 na grody literackie miast województw i województw. Rozumieją to zresztą niektórzy rady narodowe przyznając szereg nagród miejskich „za upowszechnianie kultury” pisarzom. Ta formula, pozwalająca ominąć zakazy wynikające z ogólnej polityki kulturalnej i centralizacji sukcesu artystycznego, prowadzi jednak do zbyt dalekiej pseudonimacji skoro laureatem tej samej nagrody miejskiej może być równie dobrze zostać pisarz jak i świetlicowy. Nie chcę w ten sposób powiedzieć, że lekceważę sobie pracę świetlicowego. Chcę tylko powiedzieć, że mamy tu do czynienia z pomieszaniem pojęć. Formula jest chyba za szeroka skoro na równych prawach traktuje twórcę kultury z jej popularyzatorem. Zresztą, praw de powiedziano, obowiązujący dziś siał regulamin nagród daje popularyzatorowi prymat przed twórcą. Li teraturę dopuszcza się do nagród miejskich wstydliwie, kuchennymi niejako drzwiami. Niekiedy zresztą zupełnie zatrzaskuje się przed nią wejście. W ten sposób nagroda miejska „za upowszechnianie kultury” służy popularyzacji pewnych postaw ludzi zatrudnionych, najczęściej etatowo, w tym pionie, nie popularyzując zaś najwyższych treści kultury, co jak się wydaje, byłoby stokrój ważniejsze.

Piszę tu o nagrodach literackich, słuszniej jednak byłoby wspomnieć się o nagrody artystyczne miast w różnych dyscyplinach sztuki: w dziedzinie literatury, plastyki, muzyki, teatru i filmu, może także architektury, choć tak bliska jest plastyce. Zgłaszając tę propozycję będę się w dalszym ciągu posługiwał egzemplifikacją z dziedziny literatury, chociaż moje spostrzeżenia dotyczyć będą w równym stopniu innych dziedzin sztuki. Chodzi po prostu o to, aby nie powtarzać wielokrotnie tych samych argumentów.

Warto się na początek zastanowić,

co wpłynęło na likwidację utrwalonych już tradycją artystyczną nagród miejskich? Sama tylko troska o oczyszczenie pola dla ustanowionych jednocześnie nagród centralnych decyzji tej wytlumaczyć się przecież nie da. Sądę też, że najważniejszą rolę odegrała tu sprawa postępującej degradacji tych wyróżnień. Inaczej być zresztą nie mogło, gdyż były to nagrody przyznawane zbyt często, corocznie. Decyzji ich przyznawania nie towarzyszył też rezonans społeczny. Były one równie anonimowe jak dzisiejsze nagrody „za upowszechnianie kultury”, którym towarzyszy najczęściej jednozdniowa wzmianka w gazetach codziennych. Decydując się na tę formę mecenatu społecznego nie potrafilimy go jednocześnie uczynić istotnym instrumentem kulturalnej i ideowej edukacji społeczeństwa. Nie potrafilimy przy jego pomocy, popularyzować istotnych treści socjalistycznej kultury.

Myślę zresztą, że całokształtu tych spraw nie rozwiązały także przyznawane dzisiaj nagrody centralne, naj wyższej nawet rangi. Jest jakimś smutnym paradoksem, że pomimo mody na serie wydawnicze, nie doczekaliśmy się do tej pory Biblioteki Laureatów Nagrody Państwowej, a przecież tego rodzaju cykl edytorski miałby ogromne powodzenie na rynku. Pozwoliłby też najwybitniejsze dokonania naszej literatury współczesnej utrwalić w świadomości czytelników.

Czy można więc mieć pretensję o to, że problematyki właściwej popularyzacji twórczości nie mogły rozwiązać miejskie nagrody literackie? Sądę zresztą, że częściowo udawało się to na szczeblu miast wydzielonych i województw rozwiązywać, tam zwłaszcza, gdzie działały regionalne oficyny wydawnicze. Przedwczesna likwidacja tych nagród i niezmyślenie mimo wszystko nie usprawiła twórcę poza Warszawą całkowicie bezbronnymi wobec kaprysów ślepej, od lat niedowidzącej krytyki. Tym samym pomniejszona została rola liczonej rzeszy twórców narodowej kultury w najodleglejszych zakątkach kraju, co szczególnie godzi w tych, którzy wobec przesunięcia naszych granic państwowych na zachód, musieli ją tam dopiero zaszczytę wiążąc trwałe warstwą kulturową nasze Ziemie Odzyskane z macierzą.

Aby wytrącić broń z ręki ewentualnych oponentów na przykładzie przyznawanych po wojnie Nagród Literackich m. Łodzi dowiodę, że rady narodowe dorosły mimo wszystko do wyróżniania najciekawszych zjawisk artystycznych swego regionu. Dość powiedzieć, że laureatami tej nagrody byli: Mieczysław Jastrun, Julian Tuwim, Marian Piechal, Stanisław Czernik, Włodzimierz Słobodnik, Władysław Rymkiewicz, Leon Gomolicki, Jan Koprowski i Wiesław Jażdżyński. Sądę, że ta lista nazwisk wystawia łódzkim radnym nie najgorsze świadectwo odczytania w literaturze współczesnej, obejmuje bowiem twórczość autorów o zasięgu krajowym. Jednocześnie nasuwa się

refleksja, że daleko jeszcze do wyczerpania tej listy.

W ślad za tą refleksją domaga się przypomnienia sprawa ustanowionych jeszce w roku 1928 Nagród Literackich m. Łodzi, które w okresie międzywojennym osiągnęły najwyższą rangę koncentrując na sobie uwagę opinii publicznej całego kraju. Po pierwsze dlatego, że statut tych nagród stał się wzorem dla wszystkich wielkich miast w Polsce, po wtóre zaś dlatego, że samodzielność decyzji Rady Miejskiej w Łodzi przyczyniła się do społecznej akceptacji zjawisk artystycznych tej miary co początkujący wówczas poeta Julian Tuwim i prawie nieznany malarz Władysław Strzemiński. Zresztą inni laureaci tej nagrody w okresie międzywojennym (wśród których znajdują się: Aleksander Świętochowski, Zofia Nałkowska, prof. Aleksander Bruckner, Andrzej Strug, prof. Kazimierz Twardowski i Tadeusz Kulikiewicz, wówczas młody grafik), potwierdzają kompetencje łódzkich radnych.

Może więc właśnie Łódź, obligowana do tego swojej rzeczywistej pieknej tradycją, będzie znów tym miastem w Polsce, które pierwsze przywróci nagrody artystyczne dając po raz drugi w swojej historii przykład innym ośrodkom kultury? Może znów staną się aktualne słowa wybitnego polskiego pisarza, jurora Komitetu Nagrody Literackiej m. Łodzi, Juliusza Kadena-Bandrowskiego, który w roku 1929 stwierdził na łamach redagowanego przez siebie „Głosu Prawdy”: „Miasta polskie rozpoczynają jak gdyby piękną erę renesansu, wiążąc w swym rozwoju talenty i pracę artystów”.

Sprawa, którą podnoszę, warta jest w każdym razie starannego rozpatrzenia i dyskusji. Nie chodzi tu przecież o to, aby jeszce jeden wie niec założyć na głowę laureatowi. Nie chodzi tu o dekoracje, fasadę i odfajkowanie. Chodzi o to, aby dożyć naszej kultury pełniej i trwalej zaszczyt w najszerszych kręgach społecznych. Aby nie przegapić nic z tych zjawisk socjalistycznej kultury, które zasługują na akceptację i upowszechnienie.

KSIAŻKI NADESŁANE

- Francis Clifford
„CZAS TO ZASADZKA”
PAX, cena 20.—
- Tadeusz Brzeziński
„KONCERN NA SKRAJU”
PAX, cena 12.—
- Jan Dobraczyński
„WYBRANCI GWIAZD”
PAX, cena 40.—
- Bogusław Cereniewicz
„WRZEŚNIOWE DROGI”
PAX, cena 45.—
- Anna Zawadzka
„ROZMOWA Z NIM”
Ogólnie, cena 14.—

przypłacić niemal utratą stanowiska. Prefekt wydał bowiem polecenie, by krnąbrnego, lekceważącego wszelkie terminy ziemianina — siłą sprowadzić do gmachu prefektury. Szlachcic miał wpływy w stolicy i starał się wyjednać zwolnienie Rembielińskiego z urzędu. Prze czytamy zresztą co pisał o tym wypadku Kajetan Koźmian w swoich wspomnieniach.

„...Rajmund Rembieliński, pre fakt płocki, ten sam, który próżnością, dumą i nadużyciem władzy wstawiał się na intendenta wojskowej w Galicji — osiadłego obywatela, że we zwany na dzień oznaczony nie stawiał się przed nim, kazał gwałtem wnieść z domu siłą zbrojną i podobno skrepowane przed siebie przyprowadzić. Gwałt ten pokrzywdzony obywatel zaskarżył do ministra spraw wewnętrznych, również jak Rada Departamentowa Płocka, a gdy minister Łuszczyński, łagodnego i słabego charakteru, chciał poprzestać na surowym naganie, wypadek ten wytoczył się przed Radę Stanu o oddanie pod sąd prefekta płockiego. R. znany był ze swoich despotycznych rządów, z dumy, z próżności i nie był lubiany. Prócz ministra nie miał żadnego między radcami stanu obrońcy. Staszcie szczególnie z mocą i jednością o oddanie pod sąd nastawał. R. 1820 zapoczątkował właściwie jednomyślnie zawieszony w u-

rzędzie i pod sąd oddany został, ale minister udat się z prośbą do króla, wystawił jego znakomite zdoiności, gorliwość i zasługi, na koniec zawzięcie przeciw niemu członków Rady Stanu galicyjskich, iż król na naganie karę ograniczyć kazał...”

Dodajmy tu, że ze Stanisławem Staszkiem nieraz jeszce musiał Rembieliński stać do je. Było to tym bardziej przykre, iż obydwa w jednym zmierzali kierunku — obaj dobro kraju mieli na względzie. Natomiast zachował Rajmund Rembieliński przyjaźń kilku członków rządu Księstwa Warszawskiego. Jeden z nich, Tadeusz Antoni Mostowski, zatrzymał swe stanowisko po upadku Napoleona i jako minister Królestwa Kongresowego powierzył Rembielińskiemu kierowanie sprawami Mazowsza.

Nowy wojewoda nie tracił czasu. Z licznych lektur i studiów Rembieliński wyniósł przekonanie o konieczności rozwoju krajowego przemysłu. Szczególną zaś wagę przywiązywał on do włókiennictwa. W tych zamierzeniach popierał go stale minister skarbu, Ksawery Drucki-Lubecki. Wraz z Mostowskim dbał on o pozyskanie w szybkie tempo powstały tam ośrodki fabryczne. W swej podróży szukał miast i osad dla tego celu stosownych. Jego wy bór padł na Łódź. Na wniosek

wojewody namiestnik książę Za jacek postanawia niebawem, iż Łódź wpisana zostaje w poczet miast fabrycznych, przewidywanych jako miejsca osadnictwa sukienników i płócienników.

Cóż jednak zdecydowało, że Łódź — obok kilku innych miast oraz osad mazowieckich i kujawskich — upatrzona została na przyszłe centrum przemysłu? Złożyły się na to różne przyczyny. Najważniejszą spośród nich stanowiło dogodnie położenie Łodzi — przy szlaku komunikacyjnym z Krakowa do Gdańska. W rozważanych wówczas programach ożywienia gospodarczego Królestwa trakt ten miał odegrać niemałą rolę. Jego uzupełnieniem stał się wkrótce tzw. trakt fabryczny, łączący Kalisz z Łowiczem. Tą drogą napływali przede wszystkim cudzoziemscy rzemieślnicy z Saksonii, Sudetów, Brandenburgii. Znaleźli się również wśród nich osadnicy ze Śląska i z Wielkopolski. Prawie wszyscy przybyli byli wykwalifikowanymi tkaczami. Stopniowo zaczęli oni nadawać Łodzi i okolicom charakter ośrodka przemysłowego.



Niemiec. Rembieliński postanowił stworzyć im warunki jak najdogodniejsze. Chciał, by w szybkim tempie powstały tam ośrodki fabryczne. W swej podróży szukał miast i osad dla tego celu stosownych. Jego wy bór padł na Łódź. Na wniosek

wojewody namiestnik książę Za jacek postanawia niebawem, iż Łódź wpisana zostaje w poczet miast fabrycznych, przewidywanych jako miejsca osadnictwa sukienników i płócienników.

Cóż jednak zdecydowało, że Łódź — obok kilku innych miast oraz osad mazowieckich i kujawskich — upatrzona została na przyszłe centrum przemysłu? Złożyły się na to różne przyczyny. Najważniejszą spośród nich stanowiło dogodnie położenie Łodzi — przy szlaku komunikacyjnym z Krakowa do Gdańska. W rozważanych wówczas programach ożywienia gospodarczego Królestwa trakt ten miał odegrać niemałą rolę. Jego uzupełnieniem stał się wkrótce tzw. trakt fabryczny, łączący Kalisz z Łowiczem. Tą drogą napływali przede wszystkim cudzoziemscy rzemieślnicy z Saksonii, Sudetów, Brandenburgii. Znaleźli się również wśród nich osadnicy ze Śląska i z Wielkopolski. Prawie wszyscy przybyli byli wykwalifikowanymi tkaczami. Stopniowo zaczęli oni nadawać Łodzi i okolicom charakter ośrodka przemysłowego.

Podczas wizytacji Rembieliński dostrzegł inne jeszce okoliczności, przemawiające za kandydaturą Łodzi. Obfitość lasów, strumieni i pokładów gliny dała więc wojewodzie dodat-

kowy argument; w sprawozdaniu dla władz Królestwa napisał on, iż Łódź jest miejscem „szczególnie na osiedlenie fabrykantów usposobionym”. Równocześnie Rembieliński proponował, by osadnikom przyznawać bezpłatnie działki o powierzchni 2 — 6 hektarów, zwalniać ich z podatku, a w okresie szesnastoletnim, przydziać im drewno budulcowe.

Postanowienia te znalazły się potem w Układzie Rządowym z dnia 18 lutego 1821 roku. Oprócz Łodzi upatrzył sobie Rembieliński na miasta fabryczne cztery pobliskie osady: Zgierz, Gostynin, Dąbie i Przędzecz. Na początku lat dwudziestych XIX wieku Zgierz wyprzedził nawet Łódź w produkcji i eksporcie sukna na rynki rosyjskie. Także Ozorków i Aleksandrów, gdzie wytworzone ta rozwinięła się znacznie wcześniej, były Łódź swymi wynikami. Z ówczesnych raportów rządowych dowiadujemy się, że w roku 1825 z Ozorkowa eksportowano do Rosji ponad 12 tysięcy postawów sukna, ze Zgierza ponad 10 tysięcy, z Aleksandrowa blisko 4600 postawów. Z Łodzi w tym czasie odeszło na rynki rosyjskie zaledwie około 340 postawów sukna.

Nie zatem dziwnego, że Stanisław Staszcie dostrzegł w Zgierzu „główne centrum regionu

sukienniczego”. Miasto liczyło w 1825 roku prawie 3 tysiące mieszkańców (wśród nich było ponad dwustu majstrów sukieniczych). Łódź natomiast osiągnęła powoli pierwszy tysiąc.

Wkrótce wszakże Łódź zaczęła zwyciężać w tej rywalizacji z innymi miastami regionu. Jej możliwości rozwojowe przedstawiały również Stanisław Staszcie w swym sprawozdaniu z wnikiwej ilustracji miast sukienniczych.

Pogląd Staszcia był ze wszech miar słuszny. Rycho w Łodzi do głosu dochodziła płóciennicy — tkacze i przedalnicy wyrobów bawełnianych i lnianych. Dla nich właśnie władze miejskie przygotowały bielniki na rzecze Jasieni. Natomiast z polecenia rządu Królestwa dla sukienników urządziła się na rzece Łódce dwa folusze. Są to udogodnienia niemałe. Władze chcą uczynić wszystko, by Łódź stała się ośrodkiem fabrycznym. Warto od razu wyjaśnić, że decydujący wpływ na dalszy rozwój Łodzi miał wciąż rosnący popyt na stosunkowo tanie wyroby bawełniane. Nie sukno, nie len, lecz właśnie bawełna odegrała rolę dominującą w przeksztalceniu małej i cichej osady w wielkie miasto fabryczne.*

* Książka ukaza się w bież. roku, nakładem wydawnictwa „KSIAZKA I WIEDZA”.

„Pierwiosnki“ w Teatrze Muzycznym

Po raz drugi Łódzki Teatr Muzyczny wystąpił z prapremierą operetki radzieckiego kompozytora Konstantego Listowa. Ten współczesny, bardzo popularny w Związku Radzieckim kompozytor starszego pokolenia, od wczesnej młodości związany był zainteresowaniami i współpracą z teatrem, choć więc tworzył również utwory symfoniczne, oratoryjne, w pierwszym rzędzie znany jest jako twórca muzyki scenicznej. Pisze opery, ilustracje muzyczne dla sztuk dramatycznych, pisze operetki. Od dzieciństwa związany z morzem, w czasie ostatniej wojny pełnił służbę w marynarce wojennej, często sięgał w swych utworach do tematyki morskiej, jego bohaterowie związani są z morzem. Tak było w „Sewastopolskim walcu”, wystawionym przez nasz Teatr Muzyczny przed czterema laty, tak jest w wystawionych ostatnio „Pierwiosnkiach”.

Konstanty Listow reprezentuje kierunek najbardziej chyba popularny w radzieckiej muzycznej twórczości scenicznej: łączy akcję zawiązaną elementami patriotycznymi i bohaterskimi z muzyką łatwą i melodyjną, żartobliwą jeśli trzeba, a jednocześnie ambitną, wartościową, bogatą, wymagającą od wykonawców dużej muzykalności i ujętości, od wokalistów zaś — dużych, niemal operowych, dobrze wyszkolonych głosów. A więc nie musical, nie rewia, ale po prostu tradycyjna operetka z akcentem na walory muzyczno-wokalne. Takie też są „Pierwiosnki”, których akcja toczy się współcześnie, gdzieś w Gruzji nad brzegiem Morza Czarnego, w oddziale — jakby to po naszymu powie dzieć — wojska ochrony pogranicza. Bohaterowie przed stawianymi im trudnymi i niebezpiecznymi zadaniem wykazują odwagę, żołnierski humor, kochają się z młodszą lub starszą powożnicą. Jest nawet trochę wątku sensacyjnego pod hasłem: „kto jest szpiegiem”, w sumie całość zrecenzje skonstruowana, dużo w niej ład

nych melodii, odrobina grzyźnieliskiego folkloru, trudno określić na ile autentyczne.

Myślę, że aby ocenić zabiegi polskich adaptatorów operetki, należałoby przedtem obejrzeć radziecką premierę, która odbyła się w Rostowie nad Donem. Wydało się jednak, że adaptator i reżyser w jednej osobie — Tadeusz Cygler w pierwszym rzędzie poszedł na zrobienie z „Pierwiosnki” musicalu. Nie wiem czy cho

akcie żałośnie nieporadnie leżnikę — Taniec Strażników, w rytmie cha-cha ożywił się natychmiast i pokazał co potrafi.

Teatr Muzyczny zrobił w ciągu ostatnich kilku lat sporo dla rozruszania zespołu, dla roztańczenia chóru i rozśpiewania baletu i to jest dla sceny rozrywkowej bardzo korzystne. Ale jednocześnie nie zaniedbano chyba trochę sprawy wokalne solistów. W rezultacie Łódzki zespół nie podał wokalnie tej operetce. Z nielicznymi chlubnymi wziętami (m.in. Edward Kamiński) soliści premierowego przedstawienia ani w połowie nie dysponowali wymaganymi tu głosami, nie mówiąc już o tak fatalnych nieporozumieniach jak Anna Bielanka w roli Zeni.

Nie można natomiast mieć pretensji do interesującego opracowania muzycznego dokonanego przez Henryka De

„Pierwiosnki” są jego dziełem. Mam też zastrzeżenia do kostiumów. Z jednej bowiem strony oglądaliśmy tradycyjne stroje ludowe Gruzji, z drugiej niby — supernowoczesne suknie ze środka Europy. Nie będę się sprzeczać o stroje aktorek, tance rek itp. Nie będę się sprzeczać o autentyczność cokolwiek w gatunku takim jak operetka. Ale czy nie ma lekkie przesady w tym, że gruzińskie dziewczęta chodzą do pracy, (biuro? sklep? kiosk?) w białych koronkowych kreacjach zdobionych brylantami, albo brokatowych spodniach? Rozumiem, że aktorzy chcą zabłysnąć na scenie jak najefektowniejszym strojem, ale przecież nawet w operetce obowiązują jakieś granice nieprawdopodobieństwa zwłaszcza w tego typu operetce.

Konstanty Listow siedział podczas premiery na widowni. Uśmiechał się, kłaskał,



dziło mu tylko o ożywienie akcji, czy też odczuwał braki wokalne w zespole aktorów i chciał zwrócić uwagę publiczności na stronę widowiskowo-taneczną. W pewnym sensie to się udało. Do pisania do operetki melodia w rytmie cha-cha, rozbudowanie części „kabaretowej” — występów zagranicznego zespołu estradowego, znacznie ożywiło akcję w II akcie. A nasz balet, tańczący w I

bucha i przygotowania muzycznego orkiestry — przez Beatę Ambros. Autorem dekoracji i kostiumów jest Marian Stańczak, znany łódzianin jako twórca wspaniałych scenografii do przedstawięń w Teatrze Wielkim. Wiodącynie jednak w mniejszych formach artysta nie czuje się tak dobrze jak w monumentalnych. Gdyby nie informacja w programie trudno było poznać, że dekoracje

były nawet wzruszony, bo jest naszym przyjacielem. Ale ciekawa jestem co też on myślał tak naprawdę.

*) „Pierwiosnki”. Muzyka: Konstanty Listow; libretto: Włodzimierz Irinin; przekład: Tadeusz Cygler i Jerzy Kierst; opracowanie muzyczne i instrumentacja: Henryk Debiński; klawierstwo muzyczne: Beata Ambros; reżyseria: T. Cygler; scenografia: Marian Stańczak; choreografia: Henryka Komorowska.



Norwid Leszka Herdegena

Widomo dość powszechnie, że Cyprian Norwid bardziej sobie cenił „skąpstwo w mowie” niż gadulstwo. Nie chodzi w tym wypadku o małomówność lub rozmowność człowieka na co dzień, lecz o norwidowską teorię przemilczeń w zastosowaniu do literatury.

Zdawałoby się — paradoks. Literatura na słowie stoi, słowo jest jej budulcem, z którego tworzy urojone światy. Jakież więc tu miejsce na przemilczanie? A jednak charakterystyczna dla Norwida jest niewiara w skuteczność słowną w możliwości przekazu za pośrednictwem słów złożonych treści duchowych. W poemacie „Assunta” ukończonym na krótko przed śmiercią pisał:

O! mowo ludzka, nie twe wszystkie prądy
Obraca człowiek, jak chce lub jak mniema!

Ten sceptycyzm poety jakże odległy był od wyrażonego przez Słowackiego zamiaru „aby język giętki powiedział wszystko co pomyśli głowa”. Jak jednocześnie zbliża się Norwid w tym swoim zwątpieniu do poglądów nam współczesnych, według których język jest bardzo zawodnym środkiem komunikacji pomiędzy ludźmi. Czyż na przykład ostatni u nas bestseller — „Ulisses” Joyce’a nie jest zaprogramowanym przez pisarza dowodem na to, że złożoność świata nie da się ująć w zgrabną konstrukcję słów? Skoro zaś Norwid uznał milczenie za częściej wypowiedzi, skoro zawięsa często głos w momentach, kiedy najwięcej miałby do powiedzenia, nie można go chyba z tej postawy odzierać, zagęszczać nikłą, rozrzedzoną kanwą jego słów. I w tym widzę błąd generalny widowni telewizyjnego Kazimierza Brauna p.t. „Piszę pamiętnik artysty”.

Scenariusz swój zmontował Braun z oryginalnych tekstów Norwida, z wierszy, poematów, dramatów i listów, a także z zachowanych druków głosów jego krytyków, tych co go starali się rozumieć (Sobhan Zaleski) i tych co z głupek zadatków omawiali sensu jego poezji (Siemieniński, Klaczko, Gaszyski). Jest to metoda adaptacyjna tyłem ostrożna co zawodna. Asekurację dla adaptatora stanowi fakt pozostawiania w obrębie autentycznych wypowiedzi poety. Nieporozumienie zaczyna się od tego, że wyjęte z szerszego kontekstu sceny, czy pojedyncze zdania, wprowadzone przez adaptatora w nowe relacje pomiędzy sobą, przestają mieć z oryginałem wiele wspólnego.

Braun postawił sobie za zadanie stworzenie, w oparciu o taką właśnie metodę, obrazu jednego dnia życia Norwida. Dnia fikcyjnego, którego nie było, ale który mógłby być. Którego mielibyśmy w ogólnym klimacie losów poety, nawiązując do jego gorzkich doświadczeń. W ten sposób — dla przykładu — Mak-lks z „Pierścienia Wielkiej Damy” zamienia się w samego Norwida, a publikowane drukiem głosy krytyków o Norwidzie przeobrażają się w bezpośrednią rozmowę na wernisażu.

Nie przekonano mnie zamierzeniem Brauna, Czemu bowiem mało służyć? Zilustrowaniu niedoli życiowych Norwida? A więc mało stać się zbeletyzowaną ilustracją do biografii pisarza? To może lepiej poczytać autentyczną biografię, prawdziwie tragiczną w swej obiektywnej, pozaliterackiej wymowie?

Klamra pseudobiograficzna przyjęta przez Brauna nie sprzyjała także powstaniu poważniejszej wypowiedzi na temat twórczości Norwida. Otrzymałoby bowiem fragmenty tej twórczości w formie spreparowanej, poszarpanej i sztucznie sklejonej. I wbrew Norwidowi słowa zastąpiły przemilczania...

Ryzyka, które podejmował, musiał być reżyser świadomy, skoro po posilki sięgnął aż do Krakowa, angażując do roli Norwida Leszka Herdegena. (Pomyśleć! Odczuwając aż nadmiar świetnych aktorów Warszawa pokornie zapukała do bram krakowskiej Canossy!) Dlaczego? Na pytanie to dał odpowiedź sam Herdegen w czasie spektaklu.

On to właśnie nobilitował widowisko, tworząc postać Norwida w oparciu o gruntowne zrozumienie (jeśli Norwid można w ogóle zrozumieć) gruntowne rozumienie. Herdegen włożył w tę interpretację całą swą niefalszowaną kulturę osobistą i dyscyplinę intelektualną. Świadom norwidowskiej teorii przemilczeń zwołał rytm przedstawienia, wydłużał pauzy i zawieszania głosu na niekorzystnie partii mówionych.

W ten sposób udało się aktorowi wzbogacić „nikle” rysy Norwida wynikające z siłki dostarczonej przez Brauna o syntetyczną wiedzę o tragicznym poecie i tragicznym człowieku. Spektakl został uratowany. Ale czy to usprawiedliwia zamysł realizatora? Gdyby nie Herdegen, spektakl byłby wystrzałem w próżnię, a Norwid doznałby jeszcze jednej krzywdy, której tak mu nie poskąpiło życie.

Ale czy z drugiej strony żałować, że doszło do adaptacyjnego nieporozumienia, skoro stworzyło ono okazję do prezentacji prawdziwie wartościowego aktorstwa Herdegena? Ostatecznie autentyczna sztuka zakwitła nieraz i na kamienistym gruncie.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Wśród klasycznych pozycji światowej literatury dziecięcej jedno z najpóźniejszych miejsc zajmuje bez wątpienia powieść węgierskiego pisarza, Ferencza Molnara „CHŁOPCY Z PLACU BRONI”. Wydana w 1907 roku, wzruszała wiele pokoleń młodych czytelniczek i nie zanosi się na to, by popularność jej miała zmaleć.

Jej miarą niech będzie fakt, że tylko w Polsce powieść ta doczekała się od 1913 roku do dziś — 20 wydań.

Zrealizowany w koprodukcji z kine matografią amerykańską węgierski film „Chłopcy z Placu Broni” jest piątą adaptacją powieści Molnara. Fakt, iż ostatniej tej adaptacji podjął się jeden z najwybitniejszych przedstawicieli

współczesnego kina węgierskiego, Zoltan Fabri („Karuzela miłości”, „Profesor Hannibal”, „20 godzin”) świadczy także o stosunku samych Węgrów do tej klasycznej już pozycji swej literatury.

Zobowiązany wiernością wobec oryginału Fabri zrealizował film, który wzruszać będzie zarówno młodych widzów jak i dorosłych, przypominając tym ostatnim jedno z największych przeżyć dziecięcych lektur.

W tej historii z przełomu XIX i XX wieku nacechowanej może pewnym sentymentalizmem, którego Fabri zresztą dość zgrabnie unika, odnajdą walisy zawsze i odnajdujemy podstawowe normy etyczne, określające

współzycie zbiorowości nie tylko dziecięcej. Ponieważ jest to lektura dla dzieci, normy te określone są jednoznacznie i wyważone starannie. Każda postać i każda sytuacja służy prezentacji postaw i zasad przyjaźni, solidarności i odwagi. Dobro i zło występują jako kategorie niepodważalne. W pewnym wieku takie rozumienie świata jest chyba bardzo potrzebne.

Sądzić należy, że choć dzieci nasze tak bardzo się różnią od swych budapeszteńskich kolegów sprzed lat siedemdziesięciu, to jednak podstawowe problemy ich dziecięcych przeżyć i stosunku do poznawanego świata pozostały te same. Toteż walory wychowawcze powieści Molnara i filmu

Fabriego zachowały tę samą wartość co przed laty. Wobec ciągle bardzo silnie odczuwanego braku, przy jednocześnie ogromnym zapotrzebowaniu, filmów dla dziecięcej widowni, „Chłopcy z Placu Broni” przyjąć należy jako małe wydarzenie sezonu.

Film Fabriego zrealizowany z dużą kulturą i smakiem odznacza się przy tym świetnym dziecięcym aktorstwem, umiejętnością budowania atmosfery i piękną barwą.

Wszystkich rodziców towarzyszących swym dzieciom zapewniam w tym miejscu, że na pewno jeszcze raz wrzszą się historią Nemezcza i jego kolegów i będą mieli o czym porozmawiać po wyjściu z kina.



W satyrycznej komedii „WŁOCH W ARGENTYNIE” reżyser Dino Risi podjął temat, który stał się źródłem całej serii włoskich filmów ostatnich dziesięciu lat. Jest to temat, który określić można jako próby konsekwentnej i bezkompromisowej demaskacji cech i słabostek charakterów własnych rodaków, co więcej, mitów tworzących pojęcie „typowego Włocha”.

W przypadku tego filmu, demaskacja odbywa się w sytuacji, którą określamy słowami „nasz za granicą”. Risi uczynił obiektem swej obserwacji środowisko filmowców „drugiego sortu”, których festiwalowa wizyta w Argentynie daje także okazję do prezenta

cji środowiska i problemów emigrantów włoskich w tym kraju. Dla obu stron Risi jest nieublagany, zwłaszcza wówczas gdy konsekwentnie tropi główne cechy włosko-argentyńskiego „tar-gowiska próżności”.

Wychodzi wtedy także poza satyrę jego wizerunek, ukazując złożone społeczne problemy włoskiej emigracji.

„Włoch w Argentynie” to zjadliwa opowieść o złudzeniach i rozczarowaniach ludzi, których życie określone zostało grą pozorów, to opowieść o niemożności uczuć prawdziwych tam, gdzie próżność i pozór są wyznacznikami jednostkowego losu. Jeśli nawet

uczucie autentyczne dochodzi na chwilę do głosu, musi zostać natychmiast ukryte, gdyż reguły gry zostaną zachwiane.

Postacią wiodącą jest w tym filmie specjalista od filmowej reklamy grany znakomicie przez Vittorio Gassmana, który rolę tę niejako kontynuuje postać ze znanego u nas filmu „Fanfaron”. Znany nam głównie jako aktor dramatyczny w swym nowym filmie potwierdza jeszcze raz swój duży talent komediowy. Jest zresztą komikiem, ze względu na swą bardzo męską urodę, dość nietypowym, pod stawową zaś cechą jego talentu jest starannie kontrolowany umiar i inte-

ligencja, dzięki której komediowi bohaterowie Gassmana to postacie psychologicznie pogłębione.

Gassmanowi znakomicie partneruje dawno nie widziana na naszych ekranach Silvana Pampanini, której uroda urzekła nas we włoskich filmach czasów neorealizmu.

Amadeo Nazzari w roli zwałowanego włosko-argentyńskiego potentata i Nino Manfredi jako Włoch na emigracji, któremu się nie udało, decydują również o walorach tej zabawnej i jednocześnie gorzkiej komedii.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

KARIERA WYGWIZDANEGO DRAMATURGA

Kiedy wybitny pisarz, poeta i dramaturg Alfred de Musset (1810-1857) wystał w roku 1830 swą komedię „Noc wenecka” spotkała go klęska. Sztuka została wygwizdana. Odtąd poeta, który od młodości marzył o karierze dramaturga, tworzył „teatr we własnym fotelu” pisząc sztuki sceniczne nie przeznaczone na scenę. Inspiracją dla tej twórczości jest Szekspir, Beaumarchais, Marivaux. Utwory Musseta ukazują się drukiem w czasopiśmie, lecz nie gra ich żaden teatr, a dyrektorzy teatrów traktują te utwory jako swoiste próby literackie nie przeznaczone na scenę. Musset jednak w cichości ducha marzył o tym aby jego dzieła grały w teatrze. Toteż z wielką radością dowiaduje się, że w roku 1837 jego sztuka „Kaprysy Marianny” grana jest na scenie w Petersburgu. Od tej chwili nadzieje, że i w Paryżu któryś z teatrów zagrze „Kaprysy”. Ale nadzieje jego spełniają się dopiero po dziesięciu latach. 27 listopada 1847 roku Komedja Francuska wystawiła „Kaprysy Marianny” i sztuka Musseta tym razem zyskuje sukces. Prawdziwe powodzenie zdobywają sztuki Musseta dopiero w XX wieku. „Kaprysy Marianny”, „Nie igra się z miłością”, „Lorenzaccio”, „Świecznik” — oto tytuły dzieł jakie z wielkim powodzeniem grywane są nie tylko w Paryżu, ale na całym niemal świecie. Cechuje je bystra obserwacja, błyskotliwy dowcip, doskonała kompozycja, ujmujące łączenie elementów realistycznych z najczystsza poezją.

cuska przypomniała właśnie „Kaprysy Marianny” tę pierwszą sztukę Musseta, jaka zdobyła sukces.

WSPÓŁCZESNA SZTUKA AFRYKI

W paryskim Muzeum Człowieka odbywa się wystawa współczesnej sztuki



Taniec.
Szkoła Poto-Poto

afrykańskiej. Znalazły się na niej najprzeróżniejsze dzieła najróżniejszych artystów Afryki doby współczesnej. Ekspozycja pochodzi z Naprstek Muzeum w Pradze. Mówiąc o współczesnej sztuce afrykańskiej należy zwrócić uwagę na dwa główne nurty tej sztuki. Jeden charakteryzuje się ścisłym nawiązaniem do tradycji kultury afrykańskiej, drugi natomiast wpływa na sztukę europejską. Artysty murzyńscy nawiązują do tradycji, otaczają ją jak najściślej kultem. Inni natomiast, organizując dla nich specjalne muzea, tworzą, usiłując kontynuować stare tradycje. Ich sztuka jak najściślej ma związek z tradycjami, ale nie odrzucając wszelkie wpływy sztuki europejskiej. Niektórzy, jak poeta i działacz polityczny z Senegalu Leopold Sedar Senghor, ostrzegają zwolenni-

ków tego tradycyjnego kierunku przed bezkrytycznym powrotem do starej sztuki murzyńskiej. Twierdzą, że prowadzić to może do klasnego nacjonalizmu, do zamykania się w wąskich ramach sztuki folkloru. Przedstawiciele tego tradycyjnego kierunku grupuje tzw. szkoła Poto-Poto w Ondangua. Początkowo szkoła Poto-Poto rozwijała się wspaniale mając ciekawe i oryginalne osiągnięcia. Dysponowała wybitnymi grafikami i malarzami. Później jednak artyści z tej szkoły przeszli na masową produkcję dzieł sztuki, na pośpieszne metody pracy i dziś traktowani są niemal jak rzemieślnicy produkujący dla pieniędzy pamiątki z Afryki.

Drugą tendencją, jak wspomnieliśmy, jest przejmowanie wpływu sztuki europejskiej. Tendencje te reprezentuje tzw. szkoła Makewena, gdzie wpływy zwłaszcza ekspresjonizmu zaznaczają się wyraźnie. W dalszym rozwoju tej tendencji artystom zagrozić całkowite odwrócenie się od oryginalnych i niezmiernie ciekawych tradycji starej, ludowej sztuki murzyńskiej.

Obydwie tendencje — to oczywiście tylko dwa skrajne bieguny, między którymi znajduje się wiele ciekawych dzieł, osiągnięć i prób niezwykłej wartości. Zauważmy, że na ogół udało się przekonać niejakoby sztukę afrykańską w swej istocie pozbawioną była całkowicie malarstwa. Pogląd ten wziął się stąd, że istotnie nie uprawiano tam malarstwa sztalugowego, nie znaczy to jednak by nie uprawiano malarstwa w ogóle. Malowano, i to niezwykle barwnie, zarówno ciała taneczy jak ich maski czy przedmioty kultu. Tak wy-

malowanego tancerza z punktu widzenia dzisiejszej estetyki moglibyśmy nawet potraktować jako kinetyczną, różnobarwną żywą rzeźbę.

WYSTAWA DLA UCZCZENIA MAXA LINGNERA

W Paryżu została otwarta wystawa obrazów i rysunków niemieckiego artysty faszysty, Maxa Lingnera. Od roku 1928 do 1949 roku żył we Francji współpracując m. in. z dziennikiem „l'Humanite”.

Po ustanowieniu Niemieckiej Republiki Demokratycznej Max Lingner powrócił do Berlina (NRD), gdzie zmarł w roku 1959. Pozostawił po sobie liczne obrazy i rysunki tematyczne nawiązujące do walki o demokrację i pokój. W Berlinie odbyła się poświęcona wielka wystawa jego dzieł.

Obejma ekspozycja dzieł tego zaangażowanego artysty, którego obrazy i rysunki ukazują ludzi pra-



Max Lingner: Spiewająca dziewczyna

cy, ulice paryskie, pejzaż francuski, trwać będzie do 3 kwietnia po czym przeniesiona zostanie kolejno do kilku miast francuskich.

TO LEKARZE SA WINNI ŚMIERCI ALBERTYNY SARRAZIN

Kiedy w październiku 1967 roku ukazała się na naszych półkach księgarskich powieść wydana przez PIW pt. „Skok” (tytuł oryginalny: „L'Astragale”) młodzieńca francuska autorka nie żyła już od trzech miesięcy.

Albertyna Sarrazin, sieroćta z Algierii, adaptowana przez francuskie małżeństwo, młodociana przestępczyni, która osiem lat spędziła w więzieniu, utalentowana pisarka, której powieści stały się rewelacją literacką, zmarła na skutek operacji w szpitalu w Montpellier w dniu 11 lipca 1967 roku. Jej niespodziewana śmierć wzbudziła w męzu zmarłej, Julien, podejrzenie o to czy Albertyna nie padła ofiarą zaniedbań lekarzy. Podejrzenie to potwierdził anonim. Julien Sarrazin oddał sprawę w ręce prokuratora.

Obejma sąd operując się na wynikach ekspertyz wydał orzeczenie w sprawie

dwóch lekarzy prywatnej kliniki w Montpellier. Lekarze ci są według orzeczenia sądu winni nieumyślnego zabójstwa Albertyny Sarrazin. Mąż zmarłej pisarki, Julien Sarrazin ma zamiar dla uczczenia jej pamięci ufundować nagrodę im. Albertyny Sarrazin przyznawaną młodym pisarzom, tym którym start życiowy jest szczególnie trudny.

Przypomnijmy, że Albertyna Sarrazin zdążyła napisać trzy powieści oparte na materiale autobiograficznym: „L'Astragale”, „La Cavale” i „Traverse re”.

NAGRODA LITERACKA PRZYJACIÓŁ ZWIERZĄT

Francuskie Towarzystwo Przyjaciół Zwierząt przyznało po raz pierwszy w gronie autorów powieści o zwierzętach, Laureatem został Francois de la Grange za książkę pt. „Zwierzęta świata”. Autor jest twórcą wielu serii telewizyjnych poświęconych głównie pozostawaniu życia zwierząt.

Spektakle tygodnia

	liczba	spektakli	widzów	proc.
TEATR WIELKI				
„Cyrułek sewilski”	1	1134	90	
„Carmen”	1	1260	100	
„Faust”	1	1260	100	
NOWY				
„Pierścień Wielkiej Damy”	1	700	100	
„Księżyc świeci nieszczęśliwym”	1	700	100	
MAŁA SALA				
„Szkoła kobiet”	1	200	100	
„Pelikan”	1	200	100	
IM. JARACZA				
„Każdy kocha Opalę”	3	1485	100	
POWSZECHNY				
„Ojcowie rodzą się w szafach”	1	650	100	
„Boso, ale w ostrogach”	3	1782	90	
OPERETKA				
„Pierwioski”	6	6192	93	
7.15				
„Adela i stressy”	2	884	100	
„Dadzia wdowa”	4	1770	100	



Nauczycielskie i uczniowskie sprawy

GORZKIE POWIEDZONKO — „NIEJ ZORGANIZOWANE” — SZANSE WIEJSKICH DZIECI — KRĄG ZAKŁĘTY CZY PRZEKŁĘTY? — POMOCE SZKOLNE ZA 110 ZŁ — UPRAWNIENIA OGNISK ZNP.

Jest takie bardzo gorzkie porzekadło: „bodajbyś cudze dzieci uczył”. Myślę, że to niewesołe powiedzonko wymyślił sam nauczyciel — on bowiem najlepiej, bo najdokładniej zna trud swego pedagogicznego zawodu. Trud ten jest jednak nieporównywalnie większy, kłopoty i problemy nauczycielskiej pracy ogromnieją, kiedy odniesie my je do sytuacji szkół wiejskich.

Niedawno rozmawiałem o tych sprawach z prezesem Adamem Wędrichowiczem z Zarządu Okręgu Łódzkiego Związku Nauczycielstwa Polskiego. Właśnie przygotowuje się plenum ZO ZNP poświęcone problemowi szkół wiejskich. A jest o czym mówić, nad czym debatować i radzić. Wystarczy powie dzieć, że we wszech nasze go województwa mamy około czterystu tzw. szkół podstawowych „niżej zorganizowanych”.

Za tą nazwą, która już sama w sobie niesie wiele pesymizmu i upodlenie, kryją się fakty smut-

ne. Dla przykładu; jeśli w normalnych miejskich szkołach tygodniowy program wszystkich przedmiotów realizuje się w ciągu średnio 220 godzin lekcyjnych — to w szkołach wiejskich „niżej zorganizowanych” na ten sam program poświęcić można średnio 129-150 godzin tygodniowo.

To zestawienie jest wymowne i nie trzeba nawet specjalnych badań i sond, aby zdać sobie sprawę z faktu, że absolwent takiej wiejskiej szkoły ma nieporównywalnie mniejsze szanse w dalszej nauce — w miejskich już liceach, technikumach czy nawet zawodniczych szkołach zawodowych. Jeśli nawet przy dużej konkurencji uda mu się przebrnąć przez sito egzaminów wstępnych, to dalszej nauki — mimo pracy, uporu i pilności — na pewno nie ma usłanej różami. Czy raczej piątkami.

Jest to zresztą nie tylko problem realizowania programu — siłą rzeczy „po lebkach”, bo w krótszym czasie — ale także

problem nauczycieli. Jak mi powiedział prezes Wędrichowicz z szkółach „niżej zorganizowanych” nie ma w ogóle nauczycieli z wyższym wykształceniem.

Z tego zakłętego czy raczej przeklętego kręgu trzeba znaleźć jakieś wyjście. I nauczycielska organizacja związkowa takiego wyjścia szuka.

Proponuje się zatem tworzenie tzw. szkół zbiorczych. Nie jest to sprawa łatwa, bo przecież dziś ambicją każdej wsi jest posiadać własną szkołę. Ba! Nierzadko przecież mieszkańcy wsi łożyli na budowę swojej szkoły — nieraz wnosili ją własnymi rękami w czynnie społecznym. Więc propozycja Związku Nauczycielstwa Polskiego napotyka na opór, na protesty wiejskiej społeczności. Mieszkańcy wsi, której chce się „zabrać” własną szkołę, czują się w jakiś sposób uproszczeni, dyskryminowani...

A przecież słuszne sugestie ZNP — propozycje szkół zbiorczych — zrodziły się właśnie w interesie chłopskiego dziecka, w imię autentycznego, równego startu do dalszej nauki. Niestety nie zawsze wiejskie społeczności potrafią to zrozumieć, nie zawsze potrafia wnieść się ponad ambjonalne odczucia i wąsko pojęty prestiż.

Dziwnie to trochę wygląda da jeśli jednocześnie zdajemy sobie sprawę, że w tych samych wsiach problem zagwarantowanych

przeplami mieszkań dla nauczycieli wygląda często katastrofalnie. Z jednej więc strony „prestizowo” i krótkowzrocznie broń się istnienia szkoły — z drugiej zaś nie zapewniają nauczycielom podstawowych warunków życia, bo przecież przyzwoite mieszkanie jest jednym z tych podstawowych warunków.

Jeśli do obrazu szkół „niżej zorganizowanych” dodamy jeszcze takie fakty, że np. wydają one przeciętnie 110 złotych rocznie na pomoce szkolne, że odczuwa się tam brak kwalifikowanych specjalistów np. języka polskiego i matematyki — obraz będzie dość niewesoły. Przecież nie umniejszając potrzeby i waleń wsi — innych przedmiotów język ojczysty i matematyka to są sprawy w nauczaniu zasadnicze...

Słuszne są zatem — choć na pewno trudne w realizacji — postulaty organizacji związkowej. A że trudne w realizacji — to przecież wystarczy tylko sam problem transportu. Jak przewozić dzieci do oświatowych centrów wiejskich, gdzie planuje się szkoły zbiorcze? Nielatwa sprawa — ale dają sobie z nią radę inne województwa — w łódzkim więc też się jakiejś rozwiązanie znaleźć musi.

Alc organizacja związkowa myśli nie tylko o uczniach, lecz także o nauczycielach — co zresztą jest jej podstawowym zadaniem. Chodzi więc o rozwiązanie samorządności, po-

czynając od najniższych ogniw ZNP czyli Ognisk Związku, których działa w województwie blisko 370. Ogniska te posiadają przez ciebie podstawę prawną, zagwarantowane przepisami uprawnienia ingerencji w wiele nauczycielskich problemów. Nie zawsze jednak z tych uprawnień korzysta — często zresztą zasada samorządności rozumiana jest jako uszczuplenie uprawnień szkolnej administracji, wkraczanie w kompetencje kierowników szkół, inspektoratów itd. Często zresztą Ogniska ZNP po prostu nie znają zakresu swych uprawnień — nie korzystają więc z nich.

A przecież Ogniska mogą i powinny współuczestniczyć w przydzielaniu premii, nagród, w ustalaniu siatki godzin, w rozstrzygnięciu konfliktów... Za rząd Okręgu zatem przewiduje w najbliższym czasie akcję, mającą na celu propagowanie rozwoju samorządności w oparciu o istniejące — a często nieznanne — przepisy i ustawy.

Jeśli te i inne ambitne zamierzenia nowego Zarządu zostaną zrealizowane, jeśli ZNP znajdzie po moc i zrozumienie w realizacji swych zamierzeń, to z pewnością zmniejszy się gorzkość powiedzonka o uczniu cudzych dzieł. A kiedyś przyjdzie czas, że stanie się ono zupełnie nieaktualne. Oby to nastąpiło jak najszybciej!

JERZY WIDOK

Bez strachu

Rzeczy pożyczone

Mamy swoje mieszkania, meble, bieliznę, telewizory, książki, rodzinne miasta, najbliższych ludzi. Mamy własne ciało, krew i kości... Mamy słodkie i straszne wspomnienia dzieciństwa, soczyste, bujne wizje młodości, arcyżadne doznania wieku dojrzałego; mamy pewien konstruowany obraz — pewną koncepcję swojej starości i śmierci. Podarowano nam sporo smacznych posiłków, niemamo złej strawy, ubrania zle i dobre, uczucia przelotne i trwałe. Obrastamy w satysfakcje i urazy, w przebiyski szczęścia i nieszczęścia, w zgiełk i ciszę, w gniew, w wstyd, w zemstę i w wybaczenie. Każdy z nas zbudowany z tyłu warstw, rosnący tyłoma warstwami, w wielkim świecie społecznym, w małym świecie osobniczym. Ten inwentarz rzeczy posiadanych jest niekompletny, nigdy nie zdolamy sporządzić spisu zupełnego, bowiem nasza własność wzbiera szybciej niż proces zapisywania. Rozwijamy się w poronowym wybuchu, pomnami, bierzemy, rozrastamy... To trwa do pewnego wieku, do pewnej liczby własnych lat... Nagle wiedzimy, ubożemy, usycha pamięć — świadcząca już tylko o sprawach najdawniejszych... Meble, odzienie, potrawy — nawet jeśli ktoś kochający dostarcza nam ich w obfitości — oddalają się od nas, wydają się, że tylko pozornie są nasze, że zostały nam wypożyczone i mogą być w każdej chwili zabrane. Z faktem tym jesteśmy pogodzeni... Nasze opinie w powiadamy ze zmniejszonym przekonaniem i łatwo godzimy się z zdaniem oponenta. Coraz częściej usuwamy się z drogi, kryjemy się za czyjeś plecy... Coraz gorzej słyszymy, coraz gorzej widzimy — jesteśmy coraz mniej, mówimy szeptem, powoli znikamy.

Trudno nam o wrogość wobec młodszych, ponieważ ich lubimy, ponieważ pragniemy nierzadkiej tożsamości z nimi. Jesteśmy nędzarzami, nawet kiedy żyjemy w dostatku — pozbywamy się poczucia własności zarówno tej pojętej trywialnie, jak i własności godnej, sprawiedliwej. Nigdy nie mieliśmy dzieciństwa i młodości — trzeba je było oddać, bowiem nie były nasze, tylko pożyczone. Pożyczono nam były miasta i mieszkania, uczucia sine i tkliwe, zbiorowe oraz intymne. Gdzie jest właściciel — który w przypisanym widać ter minach odbiera nam to wszystko? Odbiera nam stopniowo, nawet krew i kości — coraz mniej czynionych ciałek, coraz mniej tkanek w organizmie... Oddajemy powoli ręce i nogi i trzewia, każdy ruch przychodzi już z trudem. „Kim jestem?” pyta starzec, stając się z ziemi, gdzie w każdym miejscu można wykopać grób — grób, którego przecież także nie będzie trwałym właścicielem... „Co jest mną trwałym, nieodwracalnie mi na leżnym, bezgranicznie własnym?”

Zbliża się śmierć — oto mają mu zabrać nawet nikłą świadomość, nawet oddech. Ktoś woła: „Oddaj! Oddaj! Oddaj! Oddaj! Zie korzystałeś z pożytków”. I wtedy starzec powie: „Moim, zupełnie moim jest to, co stworzyłem w każdej dziedzinie, każdym sposobem, to jest moim i to jest mną”.

BERNARD SZTAJNERT

CZARNY KRAŻEK

(Dokończenie)

Kimball zamyślił się. — Policja sądzi, że jej narzeczonym był Martin Stacy. Ze Dianą znudziła mu się później i postanowił z nią zerwać. Diana rzekomo groziła mu sądem za niedotrzymanie obietnicy małżeństwa. Moje zdanie jest inne, Stacy nigdy się małżanką nie interesował.

Dom Forbesów stał w okolicy opustoszałej i zaniedbanej.

Kimball zatrzymał auto i puścił w ruch klakson. Z domu wybiegł Daniel Forbes. — O adwokata! Myślałem, że jakiś klient. Proszę wejść do środka! — Jak idą sprawy? — zapytał Kimball.

— Złe, bardzo źle! Straciłem wszystkie pieniądze. Przeszli budować na terenach, które zakupiłem.

Forbes spojrział na Nortona, którego mu Kimball przedstawił. — Zajmuje się pan zabójstwem Diany? To co powiedziałem może być dowodem na moją niekorzystność: nie mam pieniędzy, nie mogłem zapłacić obiecanej Dianie sumy. Nie mam także alibi. Ten wieczór spędziłem z żoną i nikt nas nie odwiedził.

W tym momencie otworzyły się drzwi i weszła kobieta z dzieckiem. — Mia, przedstawiam ci pana Nortona. Zajmuje się sprawą Diany Clark.

Kobieta spojrzała na dziennikarza, potem rzuciła na tapczan zniszczone futro. Robiła wrażenie dostojnej nędzy.

Jeżeli jakaś kobieta pragnęła śmierci Diany — myślał Alec — to mogła nią być Mia. Z jaką nienawiścią musiała przyjąć wiadomość, że małżonka przyjechała po pieniądze.

Dziennikarz wyjął czarny krążek i pokazał go Forbesowi. Ten zapewnił, że przedmiot nie mu nie mówi. Alec spojrział na Miał. Kobieta zbladła i przyglądała się krążkowi. Wreszcie potrząsnęła przecząco głową i szepnęła: — Nigdy tego nie widziałam. — Norton był przekonany, że skłamała.

W czasie drogi powrotnie Alec opowiedział Kimballowi jak znalazł krążek oraz poinformował go o tym, co mówiła pokojówka.

— Muszę z nią pomówić, to może być ważny świadek — rzekł adwokat. — Jedźmy tam zaraz!

W hotelu nikt jednak nie wjechał, gdzie jest Mary Chester. — Nie widziałem jej od wielu godzin — wyjął portier.

Kimball i Norton wsiadli do samochodu i pojechali do Jane Stacy, która

poczęstowała ich kawą i ciastkami.

Alec referując dalsze swoje poszukiwania opowiedział o spotkaniu z Leo Dendadem. Jane przeraziła się. — Pani Norton, powinien pan odlecieć tym samolotem do Nowego Jorku!

— I ja panu też tak radzę — rzekł Kimball. Bendam to sadyta.

Alec roześmiał się. — Jest teraz godzina 13. Ultimatum Bendama upływa o 17. W ciągu czterech godzin wiele może się zdarzyć. Nigdy nie jestem tchórzem i nie pozwolę się zastraszyć. Bendam wie, że jeśli zostanie zabity lub zraniony Zjednoczona Prasa rozpęta taką kampanię, że Bendam będzie musiał uciekać za granicę.

— Co pan ma zamiar zrobić? — zapytała Jane.

— Zidentyfikować czarny krążek, który na pewno zgubił zbrodniarz w pokoju numer 1105!

Dziewczyna wstała. — Od czego zaczynamy? Pójdę wszędzie z panem.

Kimball pożegnał się i odjechał.

Norton wsiadł do samochodu Jane. — Proszę zatrzymać się przy jakiejś kabinie telefonicznej — rzekł. — Chcę zajrzeć do książki abonentów. W kilka minut później znalazł to, czego szukał. — Firma Stubb, produkuje drobne przedmioty z drewna i tektury. Ulica Greenwood 21. Czy pani wie gdzie to jest?

Jane zapuściła się w labirynt wąskich uliczek. Nagle zwolniła. — Jakiś auto, Cadillac, stał jedzie za nami — szepnęła. — Lecz już jesteśmy na miejscu.

Alec wysiadł i zaczął robić robotnika, który wynosił skrzynki. Pokazał mu krążek. — Czy u was robi się takie rzeczy?

— Tak, ale tylko na zamówienie. Te krążki zamawiała wytwórnia futer Samuela Sterna. Jest w śródmieściu, łatwo pan znajdzie.

Norton wsiadł do samochodu. — Zda je się, że jesteśmy na właściwym tropie. Jedźmy do Sterna!

Posuwali się ciemnymi uliczkami. Wreszcie pokazała się autostrada. Jane chciała skręcić, gdy nagle Cadillac zablokował jej przejście. Zatrzymała auto. Drzwiczki Cadillaca otworzyły się i wysiadł „niemy” ciągnąc coś wielkiego. Drugi mężczyzna pomagał mu. „Przedmiot” rzucili na ziemię i wrócili do wozu, który znikł w ciemnościach.

Norton wyskoczył z samochodu. — To Mary Chester! — krzyknął przerażony. — Oddycha jeszcze, trzeba ją zawieźć do szpitala.

W szpitalu zajął się ranną dyżurną chirurg. Jane i Alec czekali w pustym przedpokoju.

Niedługo wyszedł lekarz. — Mary Chester nie żyje. Przed śmiercią poddyktowała zeznanie o tym, co widziała w hotelu Westmore tej nocy gdy została zabita Diana Clark. Zeznanie zdążyła jeszcze podpisać.

— Czy mogę wziąć to piśmo? — zapytała Jane. — Mój brat Martin Stacy jest w więzieniu, podejrzany o tę zbrodnię.

— Znam panią i Martina. Proszę, oto deklaracja.

Wyszli ze szpitala. — To straszne — szepnęła Jane.

— Bendam chciał zamknąć usta niewygodnemu świadkowi. Położył ciało Mary na drodze, aby mnie ostrzec.

— Co mogę teraz zrobić dla pana? — zapytała Jane.

— Wróć pani do domu i proszę nie wychodzić nigdzie. Zatelefonuję o 20. Teraz jest godzina 18, samolot do Nowego Jorku już odleciał.

Norton wyruszył do centrum miasta. Znalazł pracownika i zwrócił się do Samuela Sterna z prośbą o wyjaśnienie sprawy czarnego krążka.

— To jest guzik — rzekł Stern. — A raczej to jest „dusza” guzika, której używamy przy futrach.

— Proszę mi powiedzieć — zapytał Norton — gdyby ktoś w czasie walki szarpał za futro czy może rozerwać futrzane pokrycie guzika?

— Tak, ponieważ pokrycie jest bardzo delikatne. I wówczas „dusza” wypadnie na zewnątrz.

— Jeszcze pytanie. Czy można dowiedzieć się komu zostały sprzedane futra z takimi guzikami?

— Bardzo łatwo. Guziki tego typu dostarczono mi trzy tygodnie temu. Mój klient, firma Brills, sprzedała tylko kilka futer. Proszę się do nich zwrócić a podadzą panu nazwiska kłobiet, które je zakupiły. Ale teraz sklep już jest zamknięty.

Na ulicy dziennikarz przywołał taksówkę i podał adres Kimballa. Tylko ten człowiek mógł pomóc, znał dobrze prokuratora. Lecz należało działać w najwyższej tajemnicy, aby nie dowiedział się Leo Bendam.

Willa adwokata mieściła się niedaleko domu Jane. W jadalni błyszczały światła. Norton zatrzymał się przed oknem. Kimball czytał książkę, jego żona zdejmowała futro, widocznie przed chwilą wróciła z miasta. Alec nacisnął dzwonek. Otworzył mu adwokat.

— Norton! Czekaliśmy na pana telefon. Naprawdę się pan z nami?

Norton wszedł do salonu. Kimball przedstawił dziennikarza żonie, która przywitała się z nim i wyszła.

— A więc co mi pan powie? — zapytał adwokat napełniając kieliszki.

— Zdaje się, że zidentyfikowałem prawdziwego zabójcę.

Adwokat zmarszczył brwi. — Czy to pewność, czy podejrzenie? Ma pan dowody?

Dziennikarz wyjął czarny krążek i opowiedział wydarzenia tego dnia. Twarz adwokata sępnęła, gdy się dowiedział o zamordowaniu Mary Chester.

— Guzik nie należał do malarki, ponieważ nie miała futra — kontynuował Alec. — Mężczyźni nie noszą futer, a więc należy wyeliminować Martina, Daniela i innych. Jane nosi zawsze welniany płaszcz. Pozostaje tylko ta kobieta, którą widziałam Mary.

— Prawie mnie pan przekonał. Lecz gdzie znajdziemy tę kobietę? W naszym mieście wiele kobiet nosi futra. Alec opowiedział o swych wizytach w sprawie krążka oraz o firmie Brills, która wypowie ostatnie słowo. — I żona Forbesa otrzymała to, na co zasługuje — dodał cicho Alec.

— Adwokat krzyknął zdumiony: — Kto? Mia Forbes?

— Sytuacja tej rodziny jest bardzo ciężka. Myślę, że Daniel ma wypłacić Dianie poważną sumę doprowadzając ją do szaleństwa. Chciała bronić spokoju męża i przyszłości córki.

Nie mogę zrozumieć, znam Miał od dziecka. Chwilczkę, Norton! Widzieli-



Fot. W. Parys

śmy dziś w domu Forbesa, że futro jego żony było zniszczone, nie mogła więc go kupić w tych dniach!

— Widziałem jej futro, ale mogła nabyć tylko guziki. Teraz już nie mam wątpliwości. Musimy zatelefonować do pana Brillsa, natychmiast!

Kimball wstał. Zataczał się jak pijany. — Idę zadzwonić do prokuratora, poproszę go, aby przyjechał. — Nie czekając na odpowiedź Kimball wyszedł.

Alec popijał wino i obserwował eleganckie umeblowanie salonu. Nagle zdziwiał. Na małym stoliku obok kominka stał aparat telefoniczny. Podniósł słuchawkę i upewnił się, że telefon działał. Gdzie poszedł Kimball? Czyżby miał jakieś tajemnice? Alec rozglądał się wokół. Na tapczanie leżało futro z norek, które zostawiła pani Kimball. Poruszając się cicho podszedł, aby je zbadać. Na podszewce znalazł nazwisko kupca: Firma Brills. Odwrócił futro i zobaczył rozdarty guzik bez „duszy”. Schwycił nożyk i rozciął futerko na drugim guziku. Na podłogę upadł czarny krążek identyczny z tym, który był w hotelu!

— A więc oskarżyłem osobę niewinną, Miał Forbes. Co teraz zrobić? Uciekać z tego domu, natychmiast!

Wtem usłyszał szmer. Odwrócił się i zobaczył w progu nieruchą kobietę, która mierzyła do niego z pistoletu kalibru 22.

— Proszę się nie ruszać — rzekła Margaret Kimball. — Słyszałam wszystko, co pan mówił mężowi.

— Chcę pani mnie zabić? A co będzie z trupem w salonie?

— Powiem, że pan wszedł przez okno i zaatakował mnie.

— Nareszcie rozumiem — rzekł Norton. — Diana Clark kochała pana męża, chciała go poślubić. Dlatego pani ją zabiła.

— Clement jej nie kochał, lecz Diana nalegała, aby się rozszedł ze mną. Bałam się.

— Adwokat Kimball chce zostać senatorem. Aby zaspokoić swe ambicje jest gotów na wszystko. Poświęcił miodego współnika — Martina Stacy.

Kimball nie kocha pani, Bendam też paną nie kocha. Ostał się panią i panie męża w celu ochrony własnych interesów. Obaj są zagrożeni aż po szyję: zabójstwo pokojówki, przekupienie urzędników w celu uzyskania nakazu aresztu niewinnego człowieka... Kimball kochał Dianę a nienawidził panią Dianę była młoda i piękna, pani...

Margaret strzeliła, lecz dziennikarz zdążył upaść na podłogę. Wtem drzwi otworzyły się i do salonu wpadła Jane oraz policjanci, którzy uwięzili Margaret wytrącając jej broń z ręki.

— Alec, czy jesteś ranny? — krzyknęła Jane. — Obiecałeś, że zatelefonujesz o 20. Gdy to nie nastąpiło, zadzwoniłam do prokuratora i przyjechalśmy razem.

— Jestem John Bates — przedstawił się prokurator. — Już dawno podejrzewałem Kimballa, jednak nie miałem dowodów i dlatego wstrzymałem się także z aresztowaniem Bendama chcąc przyłapać obu współników razem.

— Kłamstwo! — krzyknęła Margaret. — Nie odważcie się ruszyć mojego męża!

— Już to zrobiłem — odpowiedział spokojnie prokurator. — Gdy panna Stacy opowiedziała mi o Nortonie i jego odkryciach, pomyślałem, że nie ma ani minuty do stracenia. Wysłałem na drogę prowadzącą do granicy meksykańskiej moich ludzi, którzy aresztowali Kimballa o dziesięć kilometrów stąd w czasie przekraczania granicy... Gdy Norton mu wszystko opowiedział, Kimball pojął, że gra skończona. Zatelefonował do Bendama, aby go ostrzec i uciekł. To samo zrobił Bendam i jego kompani. W ten sposób na granicy meksykańskiej złapaliśmy całą bandę.

Margaret zbladła. — A więc ostrzegł Bendama a mnie nie powiedział, zostawił mnie samą... Norton, miał pan rację, Clement mnie nienawidził...

Policja wyprowadziła Margaret.

— Alec, uratowałeś mojego brata! — powiedziała Jane.

— A ty uratowałaś mnie — odpowiedział Norton.

Oprac. A. S.



KOT BEZ LIŚCI

Lewym okiem

W związku z felietonem o niefortunnej poczcie redakcyjnej w czasopiśmie studenckim „itd”, poświęconej wyłącznie ubóstwianiu zespołów big-beatowych i wyrażaniu pięściami pod adresem tych czytelników, którzy nie ubóstwiają, otrzymałem listy, że przecież są jeszcze inne rubryki, że felieton jednostronny itd.

Rzeczywiście, są jeszcze inne. Na przykład w tym samym numerze tegoż czasopisma, tzn. w nrze 7 z 15 lutego, jest jeszcze rubryka „Poglądy. Opinie. Konfrontacje.” Są to lamy poświęcone dyskusji na najbardziej żywotne zasadnicze tematy środowiska studenckiego. I cóż się okazuje? Jakże poglądy i opinie konfrontują studenci, zachęcani do tego niewątpliwie przez redakcję, w numerze siódmym? Jest to jeden problem, ale jakże ważki: dlaczego studenci nie mają z kim tańczyć na zabawach? Warto przeczytać, z jakim osobistym zaangażowaniem akademicy zabrali się do tego tematu. To nie filareckie bzdury, ani rozterki „Nieba w płomieniach”, ani jeszcze jedno zauracanie głowy o uzdrawianiu świata, o sensie poezji, o materii, energii, rakiecie i historii. To konkretna,

bytowa rzecz: studentki muszą tańczyć! Studentki muszą o tym pisać artykuły! Studenci, ruszcie się! Więcej inicjatyw! — wola rozpaczliwie niedotańczona „Studentka WSE w Poznaniu”...

Tak więc było już o dwóch (całych) stronach „itd”, felietonista nie jest jednostronny, idziemy dalej.

Wpadł mi w ręce listopadowy numer „Orientacji”, czasopisma sygnowanego przez „Ruch społeczno-kulturalny ZSP”. To jest zupełnie, ale to zupełnie coś innego. To się z satysfakcją czyta. To jest duża, dojrzała, rzetelna publicystyka kulturalna, jakiej nie wstydziłoby się najpoważniejsze czasopismo tego typu. Też piszą studenci i studentki, oczywiście należące do specjalistycznego kręgu humanistów, ale to jest młodzież myśląca, traktująca poważnie swe zainte resowania, a tym samym — siebie w ogóle. Nie jestem zresztą uprawniony do wystawiania cenzur takich czy innych, z bardzo indywidualnej, „niemiarodajnej”, pozycji gratuluję zespołowi „Orientacji”, lepiej jednak czuję się w roli poszukiwacza dziur w całym.

Ze korekta bardzo niedobra, to mniej ważne. Zeszyt zawiera jednak mnóstwo wierszy, dodatek do niego jest nawet osobny suplement — zbiorek poezji, których autorka dawno już przestała być studentką. „Każdy wiersz powinien być o czymś” — pisze we wstępie poetka. I pisze jeszcze! „Pamięć dla piszącego bywa tym, czym królowa dla oczu. Groźna. I trzeba ją sobie darować”.

Nie wiemy, czym jest królowa dla oczu, dlaczego jest groźna, jak można sobie darować kró-

lową. Nie wiemy więc, czym jest pamięć dla piszącego. Ale zgadzamy się, i to bardzo, z rewelacją, że „każdy wiersz powinien być o czymś”. A wiersze są na przykład takie:

„Dzieci próbują wklepać w siebie niebo. W ich marcu trawa rośnie. W ich marcu otwiera się kot. Bez liści.”

O czym to jest? O kocie bez liści, otwierającym się w marcu? A to:

„Teraz spokojnie już mogę kołysać się w ziemię gdzie szkielet matki pewniejszy niż koń”.

Porównanie szkieletu matki z koniem na pewno coś musi znaczyć. A może nie musi? Może wystarczy, że jest czymś naprawdę, absolutnie nowym?

„Uczone kury zarosłe grzędami. Podejź proszę. Po co skarżyć się żabką...”

Nie podejść do uczonych kur. Po co się skarżyć żabką? Wiem już teraz i bez uczonych kur, zarosłych grzędami, że dopiero mózgi elektroniczne stwórzą nowoczesną poezję: na pewno zestawią słowa tak, że gramatycznie będą pasować do siebie bez zarzutu. Każda część zdania we właściwym przypadku, czasie, osobie. Kot otwiera się bez liści. Gramatycznie, poprawnie. Maszynny wymyślił coś jeszcze dziwniejszego, a będą na tyle konsekwentne, że nie będą do swych wierszy pisać „wyjaśniających” wstępów.

CWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Mako-wiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Władzimir Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa” w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. telefony: 744-78, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł, kwartalnie 19,50 zł, półrocznie — 39 zł, rocznie — 78 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy”. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa”, Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 574. H-10